EPOKA

ROK V. Warszawa, 5 października 1938 r. Nr 28 (131)

Treść: Ludowi Zaolzańskiemu. — *ROMAN LANG:* Monachium. — *WŁADYSŁAW ROMANOWSKI* Szemplińska i współczesność. — *NATALIA WIŚNIEWSKA:* O Książce Ważyka. — *AD. IGNACY WOLSKI:* Jubileusz Uptona Sinclair'a. — Rozdział z książki *GENOWEFY TABOUIS:* „Niebezpieczne więzy". — List *MICHAŁA J. JASIEŃCZYKA* o Adolfie Nowaczyńskim. — Z dnia na dzień: Sens istotny. A.T.E. i P.A.T: Złowrogi symbol. Nie z mównicy lecz z kazalnicy. Wyjazd W. Witosa. W imię prawdy. Obóz narodowy o dyspozycji sił. — Odpowiedzi Redakcji.

Ludowi zaolzańskiemu

Śląsk Zaolzański znajduje się już w granicach Rzeczypospolitej Polskiej. Kraj — mały wprawdzie obszarem i liczbą ludności, ale jakże wielki znaczeniem, którego nabrał w dziejach polskiego odrodzenia narodowego w ubiegłym stuleciu i na progu naszego wieku! Twardy i nieugięty lud śląski, górnicy Karwiny, hutnicy Trzyńca i górale Jabłonkowa, którzy tu, na południowo-zachodnim krańcu Polski, jedni z pierwszych podnieśli ongi sztandar walki o wolność. W czasach, gdy nie tylko szlachta, ale i mieszczaństwo Śląska ochoczo poddawały się narodowej i politycznej germanizacji, gdy niemczyzna niepodzielnie panowała w życiu kulturalnym i religijnym ziemi cieszyńskiej, a język polski, zdawało się na zawsze, zeszedł do roli prymitywnej gwary ludowej — w izbach robotniczych i w chatach chłopskich nie wygasły nigdy ogniska polskości, które, później, w ciągu niewielu lat miały rozbłysnąć potężną zorzą odrodzenia!

Bo odrodzenie to, odrodzenie ducha narodowego i kultury polskiej, odrodzenie poczucia łączności z wszystkimi, rozdartymi wtedy przez zabory, ziemiami Rzeczypospolitej, dokonywało się w ścisłym związku z budzeniem się społecznej i politycznej świadomości ludu śląskiego, stającego do walki o swe prawa, o wolność i sprawiedliwość społeczną. I jeżeli wszędzie w ponurym okresie rozbiorów sztandarem walki o Polskę był sztandar demokracji, to tu — w Cieszynie i Trzyńcu, w Karwinie i Jabłonkowie — wyraźniej może, niż gdzieindziej, prawda ta unaoczniła się w sposób, nie zostawiający żadnych wątpliwości. Cieszyński Śląsk zbudził się do nowego życia w wielkiej wiośnie ludów, w wiośnie demokracji, gdy padały stare despotie i absolutystyczne, bronione Świętym Przymierzem, bogi przywileju i reakcji.

W tych to czasach „Gwiazdka Cieszyńska" zaczęła rozpraszać gęste mroki niewoli i bierności. W tych czasach redaktor jej, niezapomniany Paweł Stalmach, poniósł w lud pochodnię oświaty polskiej, budząc nowoczesną świadomość narodową w przywalonych głazem germanizacji Ślązakach. Wtedy właśnie on pierwszy proklamował jedność ludu polskiego na obu Śląskach, austriackim i niemieckim, przekreślając w sercach Ślązaków granicę, dzielącą ten kraj między hohenzollernowską i habsburską monarchię. On na łamach „Gwiazdki Cieszyńskiej" udzielił gościny Karolowi Miarce, budzicielowi polskości na Górnym Śląsku, ba! więcej — on właśnie swą patriotyczną działalnością uświadomił zniemczonemu zupełnie Miarce, że jest Polakiem!

I rzecz godna przypomnienia: kościół ewangelicki na Śląsku Cieszyńskim, szczególnie, zdawało by się, predestynowany do pełnienia roli germanizacyjnej, w krótkim czasie stał się mocną twierdzą polskości. Lud zaolzański, w znacznym stopniu ewangelicki, poczuł się raz na zawsze nierozerwalną cząstką katolickiego w swej przygniatającej większości narodu polskiego. Różnice religijne między protestantyzmem a katolicyzmem nie wykopały przepaści, nie wytworzyły nawet powierzchownych rozdźwięków między cieszyniakami a resztą Polski, jak to częściowo stało się np. na Mazurach pruskich, gdzie germanizacja chytrze wygrywała i wygrywa przeciwieństwa wyznaniowe.

A później nowoczesny ruch robotniczy stał się wielką niezwyciężoną armią polskości na tej ziemi

kresowej, wystawionej na potężny napór niemczyzny. W socjaliźmie i związkach zawodowych powstała tu awangarda ludu śląskiego w jego twardej walce o wolność społeczną i narodową. Sama organizacja polskiego ruchu socjalistycznego w zaborze austriackim, łączącego w jednej partii robotników Galicji i Cieszyńskiego — wyrażała dobitnie w obliczu wszystkich ludów monarchii tę przynależność Ślązaków do narodu polskiego. P.P.S.D. Galicji i Śląska prowadziła polski lud roboczy pod wspólnym sztandarem demokracji do wspólnej walki o prawa obywatelskie i polityczne, o życiowe interesy świata pracy. W tej walce z wiedeńskim centralizmem Karwina i Trzyniec odegrały rolę nie mniejszą, niż Kraków i Nowy Sącz, a o ileż trudniejszą, skoro trzeba tu było walczyć jeszcze z językową i kulturalną germanizacją, która w sąsiedniej Galicji należała już do zapomnianej przeszłości i nigdy zresztą nie była tak groźna, jak nad Olzą.

I polski ruch robotniczy, socjalizm polski, może śmiało powiedzieć, że uratował ten kraj dla Polski, że synów jego związał nierozerwalnie z Rzeczpospolitą. Tą samą ostoją polskości był tu i ruch ludowy— przeniesiony w Cieszyńskie z Galicji. Demokracja odrodziła i utrzymała nad Olzą świadomość narodową, dała ludowi śląskiemu oręż walki o wolność, skupiła go pod swym sztandarem w karnych, zahartowanych, wiernych szeregach. Dziś szeregi te wzmacniają — nie tylko liczebnie! — walczący o przyszłość kraju obóz demokracji polskiej. W braciach zza Olzy witamy bojowników o lepsze jutro ludu polskiego, o wolną, demokratyczną Polskę Ludową!

Monachium

Premier Chamberlain spoglądał gniewnie przez okna wytwornego hotelu godesberskiego. Tam w dole czerniły się w jesiennym słońcu uniformy honorowej straży S. S., mieniły się barwami fale Renu. Ale premier Chamberlain nie był w tej chwili w nastroju do podziwiania roztaczającego się przed nim widoku. Premier Chamberlain był zaskoczony i gniewny.

Tyle trudu kosztowało go przeforsowanie pierwszych żądań niemieckich. Trzeba było namówić Francję, by machnęła ręką na uroczyste, zaprzysiężone, wielokrotnie potwierdzane, „święte", jak dopiero niedawno nazwał je Daladier, obowiązki sojusznicze. Trzeba było — rzecz jeszcze trudniejsza! — zmusić Czechów, by przyjęli te propozycje, by dobrowolnie założyli sobie na szyję powróz, który miał ich udusić. Trzeba było — rzecz przykra dla premiera brytyjskiego, będącego zarazem szefem partii konserwatywnej! — narazić się na burzliwą kampanię opozycji, na bunt części własnych zwolenników, na przygnębienie i niezadowolenie nawet tych, którzy pozostali wierni i niezachwiani". A teraz — wszystko na nic! Te nowe żądania przekreślały wszystko. Stanowczo, kanclerz Hitler był nierozsądny".

Buntował się w premierze stary, doświadczony, kuty na cztery nogi business-man. Po raz pierwszy zdarzało mu się, by, po wytargowaniu interesu, po ustaleniu ceny, po zakończonych pertraktacjach, kontrahent występował z nowymi żądaniami zapłacenia mu za... prawo dojazdu do nowo nabytego obiektu. Doprawdy, niezbyt „fair" są te niemieckie metody. Postawić „a right honourable gentleman" w tak przykre położenie!

Więc odrzucić? Przekreślić wszystko, co zrobił przez ostatnie dwa lata? Narazić się na niebezpieczeństwo upadku Hitlera i Mussoliniego, narazić rodziny Laverów i Courtaulds'ów, Bank Lazard Brothers i dom Rotszyldów na utratę niezliczonych milionów, ulokowanych w Niemczech i Włoszech? Dopuścić, by w Anglii i Francji do głosu doszli znowu labourzyści i radykali, liberali i antykapitaliści, dopuścić do „bolszewizacji" świata? Nie, raczej wszystko inne niż to, raczej jeszcze raz pochylić kornie angielski „Union Jack" przed swastyką znienawidzonego konkurenta.

Ale — jak? Przecież w chwili gdy odjeżdżał z Londynu, ulica londyńska huczała „Chamberlain must go", a Paryż wołał: „A bas le traitre Daladier"! Przecież żegnały go, rozlepione na wszystkich rogach ulic londyńskich, złowieszcze słowa Winstona Churchilla, nieskazitelnego imperialisty i konserwatysty: „Mieliśmy do wyboru pomiędzy hańbą a wojną. Wybraliśmy hańbę a wojnę będziemy mieli". Przecież w jego własnym gabinecie grupa młodych czyni mu coraz to rosnące wstręty. A w parlamencie Eden i Churchill grożą mu votum nieufności z własnych, konserwatywnych ław.

Nic dziwnego, że chmurzyło się czoło wielkiego męża stanu londyńskiej City, przedstawiciela politycznego Imperial Chemical, Royal Dutch i Lever Ltd., Mr. Neville Chamberlaina. Sytuacja była trudna i zapowiadała się na przyszłość złowrogo.

Aż tu myśl jedna błysła w umęczonym mózgu premiera. A gdyby... A gdyby tak zagrać inaczej? Gdyby odjechać z niczym, gdyby tak przyjąć od Niemiec — nie do zakceptowania, do doręczenia tylko! — ultimatum jak najostrzejsze jak najbrutalniejsze, jak najbezwzględniejsze. Gdyby potem postawić się ostro, zmobilizować co się da, rozdać maski gazowe, obłożyć gmachy City workami z piaskiem dla ochrony przed nalotami lotniczymi. Żeby w panice wzdrygnął się przeciętny obywatel brytyjski, żeby groza wojny kazała mu zapomnieć o wszystkim innym, o ideałach, o interesach Wielkiej Brytanii, o wszystkim, wszystkim. A wtedy dopiero — zjawić się znowu na skrzydłach samolotu jako anioł pokoju! Wtedy dopiero przedłożyć obywatelowi do wyboru: wojnę „w obronie jakiegoś tam narodu, o którym nic nie wiemy", czy pokój, gorąco upragniony pokój. Któż wtedy potrafi się zapytać, potrafi dotrzeć do obywatela angielskiego z pytaniem: jaki pokój, na jak długo, czy jedyny rzeczywiście możliwy pokój?

Rozjaśniło się czoło bohatera wszystkich City świata, konserwatywnego premiera Wielkiej Brytanii, Mr. Neville Chamberlaina. Podszedł do telefonu i zapowiedział swą wizytę pożegnalną u kanclerza Hitlera.

***

Nie wiemy naturalnie czy było rzeczywiście tak jak napisaliśmy. Nie leżeliśmy zamienieni w przyciskacz do atramentu na biurku kanclerza Hitlera w chwili, gdy prowadził swą pożegnalną rozmowę z Mr. Neville Chamberlainem. Nie posiadamy aparatu, pozwalającego na odczytywanie na odległość czyichś myśli. Ale bodaj że zmusza nas do zastanowienia fakt, że w chwili, gdy Mr. Neville Chamberlain uznał za stosowne uderzyć w twarde tony, akompaniował mu w tym „Times" Astorów, przyjaciół p. Ribbentropa i „Observer" Mr. Garvina, którego w Anglii lubią nazywać, ze względu na pewne koneksje natury finansowo-politycznej, Signorem Garvini. Interesuje nas bardzo tajemnicza rozmowa „w cztery oczy", jaką odbył premier Chamberlain, w pośrodku hałaśliwych mobilizacyjnych zarządzeń, z premierem Daladier, „trojańskim koniem" finansowego kapitału w łonie francuskiego Zjednoczenia Ludowego. I przyznajemy, że doprawdy zasługuje na podziw ta niesamowita wprost punktualność, z jaką depesza zapraszająca Mr. Neville Chamberlaina do Monachium zjawiła się właśnie w chwili, kiedy premier zakończył przedstawianie wszystkich, skomplikowanych perypetii swych dotychczasowych ustępstw wobec Niemiec i miał przejść do sprecyzowania swej nowej, nieustępliwej postawy. Jak dotąd, tego rodzaju punktualność spotykaliśmy tylko w kinie, gdzie szlachetny, o potężnych mięśniach i miłym wyrazie twarzy gentleman - detektyw musi zawsze przybyć w ostatniej chwili, ale właśnie jeszcze na czas, by uratować prześladowaną niewinność z rąk brutalnego zbrodniarza.

Mniejsza z tym, jak to było. Mniejsza z tym, czy rzeczywiście i do jakiego stopnia wszystko to, co przeżyliśmy w ostatnich kilku tygodniach było poprostu ukartowaną, dokładnie uplanowaną grą spółki hitlerowskiego Faszinternu z międzynarodową, w dużym stopniu żydowską, finansjerą. Faktem jest, że wszystko odbyło się tak, jakby taka gra i taka spółka istniała. Faktem jest, że zostały urzeczywistnione najtajniejsze marzenia właśnie obu tych, godnych siebie, partnerów.

Nie chcemy zatrzymywać się nad szczegółami monachijskiej decyzji. Czytelnicy nasi znają je i tak z gazet. Stwierdźmy fakt zasadniczy: „zupełne zwycięstwo tezy niemieckiej" „jak słusznie nazywa tę decyzję korespondent prasy czerwonej, p. Erdman. Czechosłowacja, jako pozycja Zachodu, jako posterunek przeciw niemieckiemu „Drang nach Südosten" przestaje istnieć. Kto wie, czy nie przestanie istnieć jako państwo niezależne, czy analogia z Irlandią, użyta swego czasu przez „Berliner Tageblatt" i uważana wtedy za szczyt żądań niemieckich, nie stanie się nieaktualną ze zgoła innej przyczyny: tej mianowicie, że Irlandia posiada, o ile idzie o sprawy wewnętrzne, rzeczywisty „homerule", rzeczywisty samorząd, na który bodaj czy zechce pozwolić Czechosłowacji Trzecia Rzesza.

Ale i to zagadnienie, jak w ogóle zagadnienie samej Czechosłowacji stało się już w chwili obecnej zagadnieniem drobnym i małoważnym wobec problemu zasadniczego, jaki wyrósł na tle konferencji monachijskiej: wobec problemu „grubej czwórki", złożonej z dwóch państw totalistycznych, trzeciego o kierownictwie filo-faszystowskim i czwartego, najsłabszego, o stanowisku chwiejnym i niepewnym — zabierającej się wspólnie do „porządkowania" Europy. „Cztery wielkie mocarstwa europejskie, zamiast porządkować Europę, każde po swojemu i jedno przeciwko drugiemu, powinny zasiąść razem, aby uporządkować ją wspólnie" — oto jak formułuje tę nową zasadniczą tendencję paryska „L'Oeuvre", która niedawno jeszcze reprezentowała opinie lewego, konsekwentnie demokratycznego skrzydła radykałów francuskich.

„Święte Przymierze"? To właśnie określenie padało wielokrotnie w ciągu ostatnich dni w kołach demokratycznych. Zdaje się nam, że jest to określenie zupełnie błędne, nie oddające istoty sytuacji i pomijające zasadnicze różnice pomiędzy mężami Kongresu Wiedeńskiego a uczestnikami konferencji monachijskiej, którzy, być może, chętnie poszliby w ślady tamtych.

Kongres wiedeński „pacyfikował" Europę, która wtedy jeszcze stanowiła cały niemal „świat rasy białej". Kongres wiedeński był kongresem państw sytych, nie mających żadnych dalszych aspiracji. Kongres wiedeński był kongresem reakcji, rządzącej niemal bez ograniczeń, nie spotykającej się nigdzie z wielkimi masowymi ruchami oporu (bo nie można przecież za takie ruchy uważać drobnych spisków, wygasających już zresztą wtedy, w kołach inteligencji i oficerów). Ile cech, tyle różnic.

Konferencja w Monachium obradowała w Europie, której pozycja uległa mocnemu zachwianiu. Poza państwami, reprezentowanymi w Monachium i tymi, które one, słusznie czy niesłusznie, uważają za swych satelitów, istnieją jeszcze dalsze, liczące się poważnie. Stany Zjednoczone, które na reakcję Kongresu wiedeńskiego zareagowały „doktryną Monroe'go", zamykającą tej reakcji dostęp na kontynent amerykański, wyrosły tymczasem na wielką potęgę, bez której udziału niemożliwa jest pacyfikacja świata. Sowiety, bez względu na ich taką czy inną ocenę, również stanowią dziś określoną siłę realną.

Konferencja w Monachium, to zespół państw o bardzo różnych, bardzo sprzecznych interesach. Anglia i Francja, nasycone kolonialnie, nie chcą niczego więcej niż obrony swego stanu posiadania. Ale słowa Goethego o tym, że nawet najpobożniejszy nie może żyć w spokoju, kiedy to nie podoba się złemu sąsiadowi, odnoszą się również i do, niezbyt bo-

---

Z prostotą, szczerością mówmy, a zrozumieją nas, bo prawdziwa siła jest tylko między prostym ludem i w decydujących chwilach tchnienie wyjdzie od niego.

ADAM MICKIEWICZ („Przemówienia")

gobojnych, interesów kapitału angielskiego i francuskiego. Każdy krok naprzód Niemiec i Włoch odbywa się kosztem pozycji angielskich i francuskich. Taka jest realna rzeczywistość naszego świata, której nie zmieni żadne pobożne życzenie bardziej lub mniej bezinteresownych zwolenników jednolitego frotu reakcji europejskiej. Ta rzeczywistość da się jeszcze nieraz we znaki Mr. Chamberlainowi.

Spotykamy się z różnymi próbami zamazania tej podstawowej sprzeczności. Jedni mówią o rozsadzeniu „osi Rzym—Berlin", o oderwaniu Włoch od Niemiec. Jacht „Enchantress" który dopiero niedawno odwiedził naszą Gdynię, będzie prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości widownią takiej próby. Próby skazanej na niepowodzenie. Zwolennicy tej koncepcji nie zdają sobie bowiem sprawy z faktu głębokiej łączności ideologicznej i łączności interesów, jaka istnieje pomiędzy Berlinem a Rzymem. Faszyzm włoski nie może dopuścić do upadku hitleryzmu niemieckiego, a hitleryzm niemiecki nie może się trzymać przy władzy bez ciągłych sukcesów w polityce zagranicznej, które dawałyby masom pewną rekompensatę za wszystkie ofiary, jakich od nich żąda reżym. Faszyzm włoski może manewrować, może tu i ówdzie płatać psikusy niemieckiemu towarzyszowi, ale w każdej godzinie próby stanie u jego boku. A Trzecia Rzesza musi dalej nasilać swą ekspansję.

„Po przyłączeniu Austrii i Sudetów głód surowców będzie jeszcze większy, natomiast możliwości produkcji przemysłowej powiększają się w silnym tempie... Akumulacja energii przemysłowej, mnożenie potencjału przemysłowego bez odpowiedniej bazy surowcowej i bez odpowiednich rynków zbytu musi z natury rzeczy nadawać Wielkiej Rzeszy ów dynamiczny charakter, ową prężność, wyrażającą się w gorączkowym poszukiwaniu nowych rynków zbytu i nowych baz surowcowych" — mówi zupełnie słusznie redaktor gospodarczy IKC.

I niechaj nikt się nie łudzi, że nawet oddanie Niemcom basenu naddunajskiego, nawet oddanie im jakiegoś Togo lub Kamerunu, czy choćby obu razem, zmniejszy, osłabi to „gorączkowe" poszukiwanie nowych rynków zbytu i nowych baz surowcowych. Czyż trzeba przypominać, że Niemcy to wszystko już raz posiadały i właśnie wtedy dalsza ekspansja niemiecka doprowadziła do wybuchu wielkiej światowej wojny? I dzisiaj, jak to słusznie stwierdza ob. Czapiński, „Mittel-Europa" jest tylko wstępem do walki o panowanie nad światem.

Istnieje coprawda jeszcze jedna możliwość, niewątpliwie przyświecająca Mr. Chamberlainowi: skierowanie ekspansji niemieckiej na Wschód, na wielki „Niemandsland", „ziemię niczyją", rozpościerającą się za wschodnią granicą Państwa Polskiego. Ale, pomijając już poważne trudności tego rodzaju przedsięwzięcia, — czy Niemcy, stające na Uralu i Kaukazie nie stanowiłyby śmiertelnego niebezpieczeństwa dla Indii i Egiptu, dla samego bytu Imperium? Oto pytanie, jakie zadają sobie tacy niewątpliwi przeciwnicy bolszewizmu jak Mr. Churchill i widać odpowiedź na nie wypada niezupełnie w duchu p. Chamberlaina, skoro nieugięty „strażnik Imperium" siedział demonstracyjnie przez cały czas owacji jakie konserwatywna część Izby Gmin składała swemu premierowi.

Prace „grubej czwórki" będą o wiele bardziej burzliwe, o wiele bardziej obfitujące w zatargi i konflikty, niż to wydaje się tym, którzy wysuwają fałszywą analogię „Świętego Przymierza".

Pozostaje wreszcie moment trzeci: ludy. Nie mówimy w tej chwili o antyfaszystowskiej opozycji niemieckiej i włoskiej, chociaż opozycja ta istnieje, chociaż, po chwilowym przygnębieniu, spowodowanym sukcesem dyktatorów, podniesie ona znowu głowę i da się we znaki reżimowi. Mówimy tu o ludach krajów demokratycznych. Mr. Chamberlain i p. Daladier, to nie lud angielski i francuski. „Pakt czterech" spowoduje wzmożenie tendencji totalistycznych w krajach demokratycznych. Ale to znowu spowoduje wzmożony odpór. Jeśli dzisiaj jeszcze spora część opinii demokratycznej, zwłaszcza Francji, ulega złudzeniu „pokojowego rozwiązania kwestii sudeckiej" i nie widzi kryjących się za tym rozwiązaniem niebezpieczeństw, to każdy krok dalej na tej drodze będzie przyczyniał się do jej uświadomienia. Jeśli prawicowy radykał p. Milhaud zaczyna już w „Ere Nouvelle" mówić o końcu „republiki parlamentarnej", to szczerzy demokraci w partii radykalnej wnet zrozumieją, że nie mogą popierać polityki, która ośmiela takich właśnie „demokratów". Złudzenia pacyfistyczne, które nie przestają wywierać wpływu na pewną część socjalistów francuskich (wymieńmy tu, ulegający mocnym wpływom p. Piverta, związek zawodowy nauczycieli), prysną w obliczu twardej rzeczywistości. Ludy nigdy nie należały do zwolenników zasady „raczej niewola niż wojna". Zostawiały ją zawsze baronom, tym feudalnym, jak i tym nowym, kartelowym. Dlatego właśnie wszystkie ruchy ludowe stoją twardo na stanowisku: jedyna droga do rzeczywistego pokoju, to panowanie prawa międzynarodowego, to poskromienie napastników.

Mylą się ci, którzy mówią o „Świętym Przymierzu". Święte Przymierze obejmowało świat spacyfikiwany. Dziś jest inaczej, zupełnie inaczej. Dyktatury odniosły zwycięstwo niewątpliwe, duże zwycięstwo. Ale jest to dopiero początek walki, początek trudności. I dlatego kończymy słowami, których użyliśmy w jakże innej sytuacji, po dniach majowych br.: nie, „oś" jeszcze nie rządzi światem.

***

Osobnych słów kilka poświęcić należy sytuacji Polski. I tu stwierdzić trzeba: powrót do Rzeczypospolitej polskiego Zaolzia, choć słuszny i radosny dla Polski, nie zmienia bynajmniej całości położenia międzynarodowego kraju.

Stosunek sił pomiędzy Rzeszą a Rzeczpospolitą zmienił się wyraźnie na naszą niekorzyść. Olbrzym niemiecki liczy w tej chwili blisko 90 milionów ludności. Jeśli — co jest prawdopodobne, ale niezupełnie pewne, — uda mu się uzależnić od siebie politycznie okrojoną Czechosłowację, to **granica polsko-**

Na wielkim człowieku nie widzimy jego sukni, suknia dla błaznów ma jakąś wagę.

ADAM MICKIEWICZ („Przemówienia")

niemiecka sięgać będzie od Gdyni po Kołomyję. Nasz sojusz z Francją stracił poważnie na znaczeniu, kto wie czy nie stał się w ogóle zupełną fikcją. Wreszcie najważniejsze — do „porządkowania Europy" pretenduje „gruba czwórka", do której my nie należymy.

Pisał kiedyś ob. Niedziałkowski: Prąd faszystowski w Europie to wróg Niepodległości Polski, wróg niezależności Rzeczypospolitej. Czyż może być bardziej dobitne potwierdzenie tej tezy, niż bilans ostatnich tygodni? Sukcesy frontu totalistycznego osłabiają stanowisko Polski. Totalizm, jako ruch światowy, to nie tylko niebezpieczeństwo dla sprawy wolności w Polsce, ale i niebezpieczeństwo dla sprawy wolności Polski, dla Niepodległości naszego kraju.

Idzie na Europę okres burz i konfliktów. Idzie okres, który nieraz może zagrozić i naszej ojczyźnie. Właśnie dlatego trzeba, by w okresie próby lud polski, wszyscy obywatele państwa, jaknajściślej byli zespoleni z Rzeczpospolitą, by każdy z nas dźwigał na sobie współodpowiedzialność za losy kraju. A to jest możliwe tylko przez demokratyzację ustroju. Tak, jak ongi, w mroczne lata pod zaborami, hasło demokracji staje się wcieleniem polskiej państwowej racji stanu.

ROMAN LANG.

Z DNIA NA DZIEŃ

SENS ISTOTNY.

O wynikach i uchwałach konferencji monachijskiej świat dowiedział się w jednej chwili. Wieści rozniosło radio z szybkością błyskawicy, pożerając w oka mgnieniu wszelkie przestrzenie: dziesiątki, setki i tysiące kilometrów. Docierało niemal jednocześnie do wszystkich wielkich ośrodków globu ziemskiego: Paryż, Londyn, Waszyngton, Warszawa, Sztokholm, Tokio, Moskwa, Rzym.

Miliony ludzi, przykutych do odbiorników radiowych, słuchały z zapartym oddechem i wypiekami na twarzach pośpiesznych, nerwowych relacji spikerów. Wiele innych milionów na ulicach miast wszystkich krajów cywilizowanych dowiedziało się po upływie pół godziny z dodatków nadzwyczajnych o tranzakcjach, zawartych na targach monachijskich. Oto zawrotne tempo i wyścig informacyj dla audytorium świata, dla setek milionów ludzi, oczekujących w najwyższym napięciu wyroku grubej czwórki.

Wiadomości o przebiegu kongresu wiedeńskiego, na którym przed wiekiem ważyły się również losy narodów i handlowano ich losem — dochodziły do odleglejszych stolic europejskich po upływie tygodni. Do Petersburga np., kurierzy, którzy nie jeżdżą stępa, lecz zazwyczaj wyciągniętym galopem, relacje z kongresu dowozili po upływie całego miesiąca, budząc zaciekawienie w szczupłych kołach polityków, dygnitarzy, dyplomatów, dam dworu i wielkich handlarzy wina.

Nie było też poco i dla kogo wydawać dodatków nadzwyczajnych: ogół był drętwy i ciemny, a nawet gdyby był inny, wieści o rzeczach z przed miesięcy nie wpływały już na chwilę bieżącą.

Te różnice czasu i zawrotne tempo podawania wiadomości zawdzięczamy nie tylko cudownej radiofonii. Sama technika informowania i błyskawiczne opanowanie przestrzeni niczego jeszcze nie tłumaczy i nie jest celem samo w sobie. Różnica główna polega na tym, że dziś w porównaniu z początkami ubiegłego wieku, społeczeństwa przestały być bierne i ciemne. Wiele setek milionów ludzi, wciągniętych w orbitę życia publicznego, chce jak najprędzej wiedzieć, kto i jak decyduje w danej chwili o losie państw i narodów. Ta postawa milionów ludzi, skupionych i obróconych w słuch, tai w sobie zapowiedź samodzielności i jest znamieniem woli zbiorowej, która w obliczu różnych osi, trójkątów, grubych czwórek czy piątek postawi twardo i prawdziwie: nic o nas bez nas.

A. T. E. i P. A. T.

Średnio zorientowany czytelnik naszej prasy codziennej miał do niedawna ustaloną od lat metodę korzystania z informacyj i depesz zagranicznych, w prasie tej zamieszczanych. Wiedziano: jeżeli depesza zaopatrzona jest literkami ATE — sprawa jest jasna. Dla nikogo nie było przecież tajemnicą, że agencja ta służy do pewnych „specjalnych" zadań, do urabiania w „pewnym" sensie opinii publicznej, i że zadania te wypełnia w sposób nader łatwy, niewybredny, obliczony na najnaiwniejszych, na tych, którym za całą strawę duchową starczy materiał, dostarczony przez różne czerwoniaki i reakcyjne popołudniówki. I rzeczywiście — „depesze" ATE drukowała najobficiej właśnie prasa tego typu.

Tenże średnio zorientowany czytelnik uważał do niedawna, że informacje i depesze oznaczone literami PAT można, przynajmniej do pewnego stopnia, traktować poważnie. Wiedziano oczywiście, że PAT jako agencja daleka od niezależności, nie daje czytelnikowi polskiemu tego wszystkiego, czego może się on dowiedzieć z prasy zagranicznej. Bądź co bądź jednak można było naogół polegać na tym, co PAT komunikuje. Były to wprawdzie wiadomości dobierane według pewnego, szczególnego klucza, wiadomości mające stworzyć pewien określony obraz światowej rzeczywistości politycznej — ale mimo wszystko to, co było przez PAT zakomunikowane, uchodziło (w tych wąskich granicach) za wiarygodne. Było tego nie wiele, było to przepuszczone przez pewien, niekoniecznie obiektywny, filtr — w każdym razie coś dawało, coś mówiło, czegoś można się było od PAT'a dowiedzieć. I na tym właśnie polegała dla nas wszystkich różnica między depeszami ATE — a depeszami PAT'a.

W ciągu ostatnich, nerwowych kilkunastu dni ta stara, praktyczna metoda czytania gazet, metoda przyjęta powszechnie przez jako tako orientujący się ogół czytelników — zawiodła zupełnie. PAT zapatrzył się poprostu na ATE. Nie tylko bowiem wzrosła niezmiernie rozpiętość ilościowa między tym, co otrzymujemy od naszej oficjalnej agencji telegraficznej, a tym, co daje nam prasa zagraniczna i zagraniczne stacje radiowe. Ale, co gorsza — przestaliśmy brać poważnie nawet to, co nam PAT komunikuje. W najgorętszych dniach grozy i niebezpieczeństwa, kiedy zdawało się w pewnym momencie, że znajdujemy się już bezpośrednio w obliczu wojny europejskiej — nie mogliśmy się od PAT'a

dowiedzieć niczego, co umożliwiłoby nam wyrobienie sobie poglądu na skomplikowaną sytuację międzynarodową. Dodajmy do tego, że i korespondencje własne (te bez cudzysłowu) prasy niezależnej nie mogły — z przyczyn od tej prasy niezależnych — dać nam tego, co ich autorzy zamierzali opinii polskiej zakomunikować. Bo taki już los polskiej prasy niezależnej, że jest ona najbardziej zależna od przyczyn „niezależnych" od niej...

Skazani więc na informacje ATE i PAT-a i na korespondencje prasy zależnej oraz na, równie zależny, dziennik radiowy z Warszawy — mogliśmy, o ile idzie o zorientowanie w międzynarodowej sytuacji politycznej, znaleźć się bardzo łatwo w położeniu górali Ałtaju czy Pamiru. Możliwe, że tym poczciwym ludziom żyje się szczęśliwie i bez wiadomości o najaktualniejszych, brzemiennych w zbrojny konflikt problemach Europy Środkowej, tak bardzo obchodzących Polskę, o której ałtajscy i pamirscy górale nigdy może nie słyszeli. Ale nas te rzeczy obchodzą! My chcemy wiedzieć! Chcemy wiedzieć, co się dzieje; chcemy wiedzieć, jakie stanowisko zajmują wobec każdego zagadnienia i zjawiska rządy europejskie, jak zachowuje się opinia publiczna różnych krajów, co mówią zagraniczni politycy i mężowie stanu! Chcemy mieć pełne, nie „szlifowane" teksty ich przemówień, teksty not dyplomatycznych i listów. Sami potrafimy ocenić tezy polityczne, wypowiedziane przez premiera angielskiego czy kanclerza niemieckiego, sami zorientujemy się, co stanowi ich istotną treść, a co jest tylko dekoracją krasomówczą, grzecznościową, czy też środkiem psychologicznego oddziaływania na przyjaciół i nieprzyjaciół! Jesteśmy dorośli — jak stwierdził redaktor Niedziałkowski — nie potrzebujemy niańki. I chodzi tu nie tylko o redaktorów i dziennikarzy, ale i o cały ogół: nie chcemy przyrządzanej wedle szczególnych recept kaszki dla niemowląt! My tej kaszki nie zjadamy, ale za to nasze niańki prasowe narażają nas na nieprzewidziane koszta i na stratę drogiego czasu. Na koszta — bo musimy wydawać pieniądze na prasę zagraniczną. Na stratę czasu — bo całymi wieczorami musimy słuchać zagranicznych stacyj radiowych, tracąc do późnej nocy drogie godziny snu. A to odbija się ujemnie na naszej pracy zawodowej. Niewyspany, kiwający się nad biurkiem redaktor, dziennikarz czy urzędnik państwowy — to skutek nocnych posiedzeń radiowych. Stąd podwójna szkoda dla państwa: nadmierny wywóz pieniędzy zagranicę i zmniejszona wydajność pracy w redakcjach, urzędach i biurach.

Złowrogi symbol

Pisaliśmy już w poprzednim numerze o bujnym, złowrogim plonie, który wyrósł z posiewu nienawiści do związkowego nauczycielstwa. Pisaliśmy o zamachu bombowym w Łodzi, którego ofiarami padli nauczyciele: jeden zabity na miejscu i pięciu ciężko rannych. Padli w mieście, którego bruki pod caratem w bratobójczych walkach spłynęły krwią bojowników niepodległości, w mieście, które dziś wzbogaciło się w nowy, straszliwy symbol: nauczyciel, niosący pochodnię oświaty pada na bruku z ręki spiskowców ciemnoty. Twierdziliśmy, że istnieje przyczynowy związek między tym wstrząsającym, tyleż okrutnym, co bezmyślnym i haniebnym zamachem zbrodniarzy a długoletnią jadowitą i oszczerczą kampanią, składającą się z mnóstwa codziennych aktów moralnej zbrodni. Że te organy mroku milczą dziś na widok skrwawionej oświaty — to rzecz zrozumiała.

Nie milczą jednak z zażenowania, zdławieni głuchym wyrzutem sumienia! Ale dlaczego po tej zbrodni zaległa cisza wśród świeczników konserwy, którzy przecież nie są obskurantami i którzy przy innych okazjach głośno powołują się na zasady moralności chrześcijańskiej? Dlaczego ze zgrozy, z rękami wzniesionymi do góry nie odgrodzą się od moralnej kałuży, gdzie lęże się zbrodnia, i nie rzucą z wysokości katedr i ambon słów przestrogi i potępienia? Na wieść o zamachu łódzkim Centralna Komisja Porozumiewawcza związków pracowniczych, zwołała **nadzwyczajne posiedzenie plenarne i powzięła jednomyślnie uchwałę następującej treści:**

„Wobec zamachu bombowego w Łodzi, którego ofiarą padł jeden zabity i pięć osób ciężko rannych spośród czynnych działaczy Związku Nauczycielstwa Polskiego oraz zniszczony został lokal organizacyjny Zarządu Okręgowego Z. N. P. w Łodzi, Plenum C.K.P., dopatrując się w tym planowej akcji terorystycznej, wymierzonej przeciwko ruchowi zawodowemu ze strony anarchizujących grup politycznych, znanych ze swego wrogiego stosunku do organizacyj pracowniczych — składa Związkowi Nauczycielstwa Polskiego wyrazy szczerego ubolewania i głębokiego oburzenia, a jednocześnie wzywa wszystkie związki, zrzeszone w C.K.P. do czynnego przeciwstawienia się wszelkim próbom terroru.

Plenum C.K.P. postanawia równocześnie zwrócić się do Rządu o przeprowadzenie energicznego śledztwa, które by wreszcie ujawniło ośrodki, anarchizujące życie publiczne w Rzeczypospolitej Polskiej".

Nie z mównicy lecz z kazalnicy

Polska Agencja Telegraficzna podała pełny tekst mowy kanclerza Hitlera. Znajdujemy tam takie zdanie: „...jeśli jakiś człowiek znieważający mnie z mównicy, zostaje aresztowany, to powstaje podniecenie w Anglii, oburzenie w Ameryce".

Otóż przekład dokonany przez PAT, jest nieścisły. Hitler powiedział: *von der Kanzel* — co przełożone na język polski znaczy: *z ambony* (ew. z kazalnicy). Gdyby chodziło o mównicę, kanclerz powiedziałby: *von der Tribüne*. Powiedział jednak: z ambony. Słyszeliśmy na własne uszy przez radio. I w dosłownym przekładzie polskim zdanie to brzmi: „jeśli jakiś człowiek znieważający mnie z ambony, zostaje aresztowany, to powstaje podniecenie w Anglii, oburzenie w Ameryce".

Zresztą nic nam o tym nie wiadomo, by już teraz występowano w Niemczech przeciw rządom narodowo-socjalistycznym jawnie — z mównicy, t. zn. w parlamencie czy na wiecu. Taki śmiałek napewno nie był by tylko aresztowany! Natomiast słowo ambona, kazalnica wskazuje, że idzie tu o duchownych, katolickich czy protestanckich (może pastora Niemoellera?), którzy bardzo często występują przeciw hitleryzmowi.

Nieścisłe tłumaczenie niepozornego niby słówka zmienia — jak widać — sens zdania w sposób bardzo istotny. Czy to jest zadaniem uczciwej, obiektywnej informacji?

Mała rzecz — a wstyd.

WYJAZD

Ukazał się komunikat Stronnictwa Ludowego, podpisany przez Br. Gruszkę, M. Rataja i J. Grudzińskiego — z którego dowiadujemy się, że z chwilą zaostrzenia się stosunków polsko - czeskich emigranci brzescy z Wincentym Witosem na czele opuścili granice Czechosłowacji.

W IMIĘ PRAWDY

„Wobec tego, że w prasie ukazały się twierdzenia, jakoby sprawa likwidacji prawosławnych cerkwi na terenie niektórych powiatów województwa lubelskiego była ustalona pomiędzy rządem polskim i Episkopatem Polski oraz ks. Nuncjuszem Apostolskim w Warszawie, Konferencja Episkopatu Polski, zebrana w Częstochowie stwierdza, że powyższa wiadomość jest zupełnie niezgodna z prawdą".

Takie oświadczenie przeczytaliśmy w prasie codziennej. Wynika z niego, że likwidacja cerkwi prawosławnych przeprowadzona była wyłącznie z inicjatywy czynników pozakościelnych, świeckich.

TRAFNA OCENA BEZ KONIECZNYCH WSKAZAŃ

„Warszawski Dziennik Narodowy" pisał po Godesbergu:

„Wzrost sił niemieckich i umocnienie stanowiska Rzeszy w tej części Europy byłoby tak wielkie, że rekompensaty w postaci zwrotu prawowitym właścicielom przyłączonych niegdyś do Czechosłowacji ziem obcych nie zrównoważyłyby tej dysproporcji sił, jakaby się wytworzyła".

„Niemcy po wcieleniu Austrii i po przyłączeniu Sudetów, równoznacznym z pozbawieniem Czechosłowacji granicy strategicznej, stają się w Europie środkowej i wschodniej potęgą znacznie większą, niż cesarstwo niemieckie przed wojną światową. Wcześniej czy później zechcą one wyciągnąć z tego konsekwencje i będą się kusić o wprowadzenie swojej hegemonii w tej części kontynentu"

Wnioski? Ostatni sukces hitleryzmu, który w intencjach sterników Trzeciej Rzeszy ma być wstępem do pełnej realizacji Mitteleuropy, stwarza ogromne niebezpieczeństwo dla naszego kraju. Dziś, po okrojeniu i obezwładnieniu Czechosłowacji znajdujemy się już sam na sam — w cztery oczy — z Hitlerem. Nie przesądzając w tej chwili, jaki będzie dalszy rozwój wypadków, w szczególności zaś, jak szybko i jak mocno uda się Niemcom usadowić w basenie naddunajskim (od tego jest przecież Szalassy na Węgrzech i Codreanu w Rumunii, którzy w stosownej chwili mogli by jako „zbawcy" narodu wyjść zza murów więziennych!) — trzeba stwierdzić, że Czechosłowacja była najmocniejszą w tej części Europy zaporą przeciw niemieckiej ekspansji w kierunku południowo-wschodnim. Ta zapora obecnie już nie istnieje. Fakt ten stwarza dla nas niezwykle trudną sytuację — boć nikt chyba nie łudzi się, żeby małe, większe czy nawet całkiem wielkie Węgry, rządzone przez skrajnie konserwatywne żywioły feodalne, mogły zastąpić wysoko uprzemysłowioną, demokratyczną Czechosłowację! Dlatego możemy się pewnego dnia znaleźć w sytuacji, w której Trzecia Rzesza będzie naszym „sąsiadem" nie tylko od zachodu i północy, ale także od południa — przez tak czy inaczej podporządkowane hitleryzmowi Węgry.

Kto winien? Winni są wszyscy, którzy u nas, w Polsce, przez długie lata pracowali nad zidentyfikowaniem naszych celów z celami Trzeciej Rzeszy, wszyscy, którzy z zapałem godnym lepszej sprawy wmawiali społeczeństwu polskiemu, że najlepszym naszym sojusznikiem są Niemcy i w ogóle mocarstwa „osi", wszyscy, którzy głosili, że hitleryzm jest ideologią „narodową" niosącą zbawienie Europie i Polsce — i że jedynymi patriotami polskimi są hitlerochwalcy! Czy „Warszawski Dziennik Narodowy" może powiedzieć, że jest tu bez winy? Że jego polityka różniła się istotnie od polityki „Słowa" wileńskiego, „Jutra Pracy", „Myśli Polskiej", „Merkuriusza" i „Falangi"? Czy przywódcy Stronnictwa Narodowego, nie tylko „młodzi", jak p. Kazimierz Kowalski, ale i całkiem starzy, jak p. Stanisław Kozicki, nie „pracowali" w tym samym duchu, co pp. Studnicki, Budzyński, Bączkowski i inni? Dziś dla nikogo nie jest już przecież tajemnicą, że ruchy t. zw. narodowe w różnych krajach są przeważnie transmisjami wpływów hitlerowskich, kanałami, przez które wpływy te przeciekają poza granice Trzeciej Rzeszy, placówkami niemieckiej (wzgl. na południu włoskiej) ekspansji. Prasa Stronnictwa Narodowego zarzuciła nam niedawno, że nie rozumiemy istoty endeckiej ideologii, bo dostrzegliśmy w niej tylko „nacjonalizm rzymsko-berlińskiego typu". Więc jak należałoby — zdaniem tej prasy — określić politykę, która zmierza do pozbawienia społeczeństwa polskiego wszelkiej odporności wobec toksyn hitleryzmu, która, co gorsza, przyczynia się do masowego szczepienia tych toksyn na żywym organizmie narodu? Naczelny organ Str. Narodowego w przytoczonych wyżej uwagach bardzo trafnie ocenił sytuację, w jakiej znalazła się środkowa Europa, a z nią i Polska, po wielkim sudeckim sukcesie Trzeciej Rzeszy. Wolno przypuszczać, że artykuł ten miał na celu ostrzeżenie społeczeństwa polskiego przed niebezpieczeństwem, w jakim się nasz kraj znalazł. A kto ostrzega, ten chyba wzywa do przeciwdziałania. W takim razie winien wskazać środki. I cóż przywódcy Stronnictwa Narodowego chcą w tej chwili przeciwstawić hitlerowskiemu naporowi, który wczoraj witali jako zbawczy pochód idei narodowej? Demokracja polska była jedyną siłą, która na serio to niebezpieczeństwo sygnalizowała, która podkreślała, że nie można zalecać faszyzmu w polityce wewnętrznej, że nie można walczyć o pełną totalizację Polski — a jednocześnie organizować obronę Rzeczypospolitej przeciw ekspansji, występującej właśnie pod sztandarem faszyzmu i totalizmu. Nie mamy żadnej potrzeby powtarzania tego wszystkiego, cośmy na ten temat nie raz już pisali. Ale chcemy stwierdzić raz jeszcze: naporowi niemieckiego totalizmu można się przeciwstawić tylko pod sztandarem demokracji. Ale pod tym sztandarem wodzowie Stronnictwa Narodowego nie staną.

NIC O NAS — BEZ NAS!

W katowickim „Zwrocie" znajdujemy bardzo słuszne uwagi dotyczące związku między trudną i skomplikowaną sytuacją międzynarodową Polski, a sprawą demokratyzacji naszego ustroju politycznego. Organ Stronnictwa Pracy pisze: „Cóż za pewność siebie przerażająca, aby odtrącić opinię narodu właśnie wtedy, kiedy tylko naród winien stanowić o swoim losie. Hasło dyplomacji polskiej rzucone na zewnątrz musi być podjęte przez społeczeństwo polskie i rzucone wewnątrz kraju. Nic o nas — bez nas! Chcemy wiedzieć, chcemy mówić, chcemy kontrolować, chcemy decydować. Nic o Polce bez Polski! A Polską jest jej lud rolniczy, robotniczy, rzemieślniczy, klasy średnie, inteligencja, wszechnice, akademie, związki, partie polityczne, jej kultura, jej prasa... Chcemy, aby słowa naszych ministrów nie były tylko formalnie obowiązujące, lecz, aby miały oparcie w istotnej i świadomej potędze narodu".

Jest to stanowisko całego obozu demokratycznego w Polsce. Nie ma pod tym względem żadnych różnic między poglądem Stronnictwa Pracy, a poglądem PPS, ruchu ludowego, czy Str. Demokratycznego. Kraj cały woła o dopuszczenie narodu do rządzenia państwem, do decydowania o wewnętrznej i zagranicznej polityce Rzeczypospolitej, o podstawowych problemach społecznych, gospodarczych i narodowościowych, obolałych i nie znajdujących żadnego rozwiązania w trwającym niezmiennie antydemokratycznym impasie. Znaleźliśmy się już twarzą w twarz z ogromnym imperium niemieckim, którego ekspansywny „dynamizm" nie zatrzyma się, bo nie może się zatrzymać, na Sudetach. Przeciwstawić się temu dynamizmowi zdoła tylko państwo silne wewnętrznie, silne łącznością swych obywateli z aparatem rządzącym. Tę łączność zapewni naszemu krajowi tylko ustrój demokratyczny.

Szemplińska i współczesność

I.

Fermentująca we wszystkich swych dziedzinach sztuka współczesna — to obraz o zwichrzonym, pogmatwanym tle, z którego wynurzają się jakieś dziwaczne w swych kształtach twory. Wyłaniają się z chaosu i buntu, który zapłonął w pierwszych latach po wielkiej wojnie na wszystkich krańcach jednocześnie. Literatura, malarstwo, architektura porzuciły swe proste, równo wytknięte szlaki i poczęły biec w niebezpiecznym oszołomieniu naoślep.

Pytanie: czy jest to postęp, cofanie się, czy harcowanie ciągle na tym samym miejscu — narazie trudne byłoby do rozstrzygnięcia. Zmiana tła dziejowego, dokonywująca całkowitej przebudowy myśli politycznej i ustroju społecznego, usunęła z pod stóp sztuki jej dotychczasowe fundamenty ideologiczne. Może dokonało się to zbyt pośpiesznie, bo sztuka, nie zdążywszy się jeszcze umocnić na nowych podstawach, załamała się.

Malarstwo zaczęło przeżywać ciężką chorobę nowych prądów w rodzaju najdzikszych ekspresjonizmów i futuryzmów. Do literatury wkroczył chwilowo nawet dadaizm. Poczęła ona w sposób niezrozumiały dla zdrowo myślącego człowieka bełkotać — niewiadomo — z chęci ogłupienia go, czy też szukając dla siebie nowych dróg. Rodziły się i rodzą dotychczas jedne po drugich kierunki, będące niezmiennie karykaturą prawdziwego piękna. Literatura ma oblicze człowieka roztargnionego, stojącego na rozdrożu, nie wiedzącego którędy pójść.

Na całym obszarze dzisiejszej twórczości powieściowej i tzw. awangardy poetyckiej toczy się zaciekły bój o nową formę i nową treść. Tą treścią tak gorąco poszukiwaną stał się człowiek jako istota przedtem nieznana, jako konglomerat różnych czynników psychicznych, o bogatej w ich pokłady duszy. Że to właśnie nurtuje naszą epokę, dowodzi fakt zwycięstwa freudyzmu w literaturze. Psychoanaliza wdarła się w krainę podświadomości. Literatura zaczęła i tu poszukiwania. Wynikiem ich stał się „nowy realizm" — jak go nazwała krytyka — realizm psychologiczny.

Na takim tle, z zamętu ścierających się ze sobą formalizmu i psychologizmu, subtelnej kompozycji i techniki pisarskiej, „dogłębnej" analizy i nowoczesnego duszoznastwa, wyłania się i krystalizuje powoli, starająca się znaleźć właściwą dla siebie formę dzisiejsza twórczość literacka.

Produkcja powieściowa nie tylko Szemplińskiej, ale i całego szeregu pokrewnych jej rodzajem talentu pisarek, gromadzi się na pograniczu owego „nowego realizmu".

Oprócz bowiem scen, przerysowanych wprost z życia szarego człowieka, jaskrawych, jak u Boguszewskiej, w swym naturalizmie, napotkamy zawsze czynnik irracjonalny, często nawet jakby mistyczny, cechujący całą dzisiejszą twórczość kobiecą.

Tęsknotą irracjonalną za czymś nieosiągalnym, dalekim od codzienności, do świata wiecznego dzieciństwa i wiecznej, niemijającej afirmacji wrażeń i otoczenia — oddycha przecież mimo swych realistycznych walorów każda niemal karta „Narodzin człowieka" Szemplińskiej. Kompleksem Kaliksta, który koniecznie chce być dzieckiem i nie widzieć, a przynajmniej coś zrobić, by jak najmniej widzieć realność ludzkich spraw, jest nasiąknięta niejedna postać Kuncewiczowej, Zarembiny, Nałkowskiej i Gojawiczyńskiej. Literacką emanacją takiej właśnie rzeczywistości są Daria, Cudzoziemka, Weronika i Elżbieta. Nie słusznym byłby zarzut ich bliźniaczego do siebie podobieństwa — każda z tych postaci ma swoją indywidualną odrębność. Jest jednak coś, co je łączy, co wskazuje na ten sam ich artystyczny rodowód.

Stąd cała literatura kobieca czyni wrażenie jednej o skomplikowanej architekturze budowli, którą widzimy z każdej strony inaczej, zależnie od rodzaju i skali talentu danej autorki.

Szemplińskiej Daria, Zarembiny — Wincenta, Nałkowskiej — Renata Słuczańska: to trzy niewątpliwie różne sylwetki, ale czyż nie łączy ich ten sam demonizm miłosny, podniesiony niekiedy do potęgi żywiołu? Autorki czerpią z różnych środowisk, malują różne przeżycia, ale gdy dramatyczne spiętrzenia akcji dokonywują się na podłożu erotycznym — miłość jest wtedy zawsze tragiczna i niedobra.

Gdy zaś porównamy tak różne utwory i z pod tak indywidualnych wychodzące piór, jak „Granica", „Dwa księżyce", „Wędrówka Joanny", „Potrójny ślad" — czy nie zdziwi nas ta sama ‚namiętna pasja" w przedstawianiu procesów wewnętrznych swych bohaterów, to samo i za pomocą podobnych środków technicznych zaciekłe wiercenie w głąb duszy, tę samą, namiętną kobiecą ciekawość w odsłanianiu najintymniejszych jej poruszeń i drgnień aż do całko-

witego, jak u Zarembiny i Kuncewiczowej, przerostu tego, co określa się dziś jako psychologizm? Chcąc więc przedstawić, jak to było zamierzeniem w tym wypadku, twórczość nawet jednej tylko autorki, trzeba z konieczności uwzględnić w tym obrazie tło pokrewieństw i analogij, gdyż nigdy nie mamy tu do czynienia ze zjawiskiem całkowicie odosobnionym.

Elżbieta Szemplińska bardziej może niż jakakolwiek inna pisarka zasługuje na głębszą analizę swego artystycznego dorobku. Nie tylko dlatego, że u niej w wysokim stopniu doszły do głosu wszystkie wyżej omówione zalety i wady dzisiejszej literatury, ale i dlatego też, że przebywa ona podobnie jak Gojawiczyńska swą twórczą ewolucję. Dotychczasowe książki Szemplińskiej, to nieustanny trud odnalezienia właściwego spojrzenia na świat i nieustanne wspinanie się wśród tego trudu wzwyż. Aby ocenić olbrzymi wysiłek autorki na drodze samodoskonalenia się, dokonany na przestrzeni czterech wydanych przez nią książek, wystarczy przypomnieć sobie debiut pisarki: „Narodziny człowieka".

Od pierwszej strony czytelnik widzi, że będzie miał do czynienia z liryzmem, filozofią sentymentalną i patetyczną nieprawdą. Począwszy od nastrojowego motta, cały tok powieści, a raczej konglomeratu tematów, patetycznych dygresyj i lirycznej deklamacji — sprawia wrażenie, że autorka przedstawia tyle ludzi i zdarzeń po to, by mieć odskocznię w jakąś irrealną sferę radosnej, ciągłej afirmacji czegoś, co jest w człowieku ani dziecinne, ani dojrzałe, gdzie niema tej zwykłej otaczającej nas codzienności, ale niema też krytycyzmu i myślenia. Ten może podświadomie bezkrytyczny do siebie stosunek sprawia, że autorka zachłystuje się od słów i myśli. Chce powiedzieć dużo, chce rzucić jakieś idee, szamocze się i męczy w wytworzonym przez siebie chaosie. Nie umiejąc użyć formy dla dręczącej ją treści, w rezultacie przez szereg luźno splecionych ze sobą wątków akcji jak stosunek Otylii do Hornika, problem dziecka proletariackiego, epizod życia biurowego, niewątpliwie dobrze pochwyconych, ale fatalnie działających na strukturę powieści — dochodzi autorka albo do wzniosłego wyładowania swej nieporadności pisarskiej w apostrofach do codzienności, bolesnej pustki, zawodu i rozczarowania, albo nie umiejąc utrzymać się na płaszczyźnie realizmu, przesadza w charakterystykach swych bohaterów, stwarzając postacie tak karykaturalnie przeanalizowane i tak olbrzymie, że trudno nie zauważyć rażących niedociągnięć. Kalikst, ograniczony i prostacki, a zarazem marzycielsko - romantyczny o delikatnych, drgających nozdrzach, błękitnych i czystych oczach, bije żonę, teroryzuje dzieci. Choruje na manię wielkości. A jest dlatego brutalny i dziki, bo musi być tylko mierniczym. Czy to nie za banalne? W tak makabrycznych warunkach rosną dzieci — Alda, Kleopatra i Klea. Wisi nad nimi jak cień moralny i umysłowy niedorozwój rodziców. Podlegają one pozatem wpływom epoki i środowiska.

Człowiek stanie się taki lub inny zależnie od tego, gdzie przetną się linie owych wpływów. Może w sercu, może w charakterze. Zależy od przypadku i przeznaczenia.

Dziecko musi być tym, czym uczynią je one aż do chwili, gdy pozwoli utonąć swym okrętom i pocznie myśleć samotnie.

Tak rodzi się w dziecku człowiek.

Kształtują się powoli jego uczucia, instynkty, psychika.

W podświadomości rodzą się niejasne jeszcze pragnienia, wywołane jakimiś wstrząsami lub urazami psychicznymi. Zależnie od nich ukształtuje się późniejsze życie człowieka. Takim jest przecież Kalikst i Otylia. Takimi będą Andrzej Hornik i Alda. Wszystkie te postacie już od czasów swego dzieciństwa żyją w twórczości pisarki fikcją, w papierowym, dziwnym świecie, w jakiejś — jak „Ludzie z wosku", Zenon i Krystyna — mistyce rzeczywistości. Poza zbiorem swych nowel pt. „18 spotkań", zadziwiających naturalizmem opisu ludzi biednych i skrzywdzonych, Szemplińska nie może rozwiązać dręczącego ją konfliktu między abstrakcją, a rzeczywistością na korzyść tej ostatniej.

II.

Mimo swe braki „Narodziny człowieka" wykazały, że ich autorka miała ambicję osiągnięcia indywidualnego wyrazu artystycznego.

Szczęśliwym dowodem tej ambicji jest powieść „Potrójny Ślad".

Dla Aldy świat istniał po to, aby dostarczać jej przeżyciom paliwa. Była ona namiętna, żywiołowa i agresywna. Ale wtedy jeszcze nie stała się człowiekiem. Teraz Alda — Daria jest już inna. Powiedzieliśmy — inna. A przecież już od pierwszej chwili, gdy Urban zaczyna czytać pamiętnik Darii aż do ostatniej, gdy go kończy i znika cała wizja — pojawia się niepokojące pytanie: czy Daria w ogóle istnieje, jako coś konkretnego, realnego?

Nie wiem — mówi ona sama w rozmowie z Andrzejem Hornikiem.

„Skąd mogę wiedzieć jaka jestem? Może być, że jestem bezduszna. Nieraz mi się zdaje, że mnie w ogóle nie ma, że istnieją tylko wyobrażenia o mnie. Dużo wyobrażeń. Wyobrażenia mężczyzn, przyjaciółek, wyobrażenia wujenki, psa, kota. Wszyscy co innego o mnie myślą".

Powieść jest subtelną, oderwaną od realnej atmosfery analizą Darii.

Szemplińska, mająca tak wnikliwe spojrzenie w zwyczajność szarego życia w niejednym opowiadaniu z tomu „18 spotkań", zbuntowana rewolucjonistka i pionierka nowych haseł w swych wierszach, wzniosła się w powieści o trojakim obliczu Darii na szczyt dramatycznego napięcia konfliktu w duszy kobiecej. Tradycyjna u tej pisarki skłonność do chaotycznego, nieopanowanego widzenia wiedzie ją i tu na bezdroża różnych spraw i problemów. Z całości jednak, na drodze widocznego intelektualnego wysiłku opanowania i może nawet celowego skomplikowania kompozycji wysuwa się jedna sprawa — Daria. Cały artyzm techniczny tej opowieści polega na tym, że widzimy Darię nie tylko w trzech jej odbiciach — w Urbanie, Matyldzie i pamiętniku. Jej ślad odciśnięty jest wszędzie, nawet w życiu zwierząt i na przedmiotach martwych. Kompleksem Darii jest przeniknięte wszystko. Wchodzi on w nerwy jak trucizna. Dzięki oryginalnej kompozycji, ujmującej jak w klamry rozmowa Urbana i Matyldy toczącą się w ich wspomnieniu akcję, oraz wskutek umiejętnego operowania przez autorkę aparatem środków technicznych, widzimy Darię ciągle inną, ciągle zmienną i jednakowo w każdej z faz swej metamorfozy — jakąś niepochwytną i nierzeczywistą.

Wrażliwa, wizyjna wyobraźnia kobiety pozwala Szemplińskiej, podobnie jak autorce „Ludzi z Wosku" odgadywać z zadziwiającą przenikliwością całą złożoną strukturę psychologiczną faktów i ludzi. Odczucie to jest tak silne i tak plastyczne w opisie, że sugeruje wrażenie realizmu.

Od tej chwili, gdy Urban przed snem osuwa się niby po długiej linie coraz niżej w niewyraźne, zaciemnione już dawnością zdarzenia, Matylda zaś, rywalka „tamtej" wywołanej tego wieczora przekleństwem gniewu i miłości ich obojga milczy obrażona — od tej chwili historia dawno skończona przypomina się im raptem jak amputowana ręka.

Matylda, choć milczy — pamięta jednak początek swej przyjaźni z Darią. Była ona wtedy jeszcze dzieckiem, małą Aldą. Tę Darię jednak Matylda słabo pamięta. Wstają przed nią inne czasy, inna Daria. Ta z okresu ich rywalizacji i nienawiści, z okresu gdy Matylda złożyła jej pierwszą swą ofiarę, tracąc dla niej swego męża, tak jak później straci syna, a teraz traci kochanka. Urban widział ją tylko raz jeden na scenie. Orkiestra ciskała nią, zamieniała ją w płomień, w ostrze, w widzialny symbol dźwięku. Podniósł się w nim wtedy ów lęk, bunt i pożądanie. Daria weszła weń jak trucizna, której z organizmu już nie można się pozbyć, która jednak nie zabija.

W tych przedsennych majaczeniach Urbana i Matyldy odsłania się zwolna w bogatej inscenizacji szczegółów psychicznych, demoniczny w swej namiętności i erotyzmie charakter Darii. Sieje ona dokoła siebie opętujący uczucia czar, który obezwładnia i rodzi w tych, co mu ulegają, miłość tragiczną i niedobrą. Jakiż dramat rozgrywa się w sercu Ludwika, pierwszego męża Darii. Odtrącony i poniżony trwa w obłąkańczym dla niej uczuciu, jak w hypnotycznym śnie, z którego już nic go nie wyzwoli. Zły czar opanowuje też szorstką i dobrą naturę Niedźwieckiego, dumę wyniosłą doktora Urbana, artystyczną i subtelną duszę Andrzeja Hornika.

Gdziekolwiek się ten czar rozsiewa, wstaje nieszczęście, rodzi się tragedia.

Szemplińska z wielkim znawstwem i umiejętnością obserwacji podpatruje te zahypnotyzowane przez Darię dusze.

Talent pisarki ma w sobie coś z kameleonowego charakteru jej bohaterki. Ukazał bowiem w tej powieści nowe oblicze — fragmenty poświecone zwierzętom. Dzieje wyżlicy Mony Lizy, jej „śpiew" i „śmiech", jej rozpacz po śmierci starego Paliwody, ojca Kamili. Radość, jaką wyraża kot January, zarażony też jakimś swoistym kompleksem uczucia dla swej pani — Darii, jego złość i gniew — to rzeczywiście nowe w swym mistrzostwie i wiele obiecujące pozycje artystyczne autorki. Oryginalna kompozycja powieści wskutek nadmiernego wydłużenia tych fragmentów wiele traci na swej konstrukcji i zwartości. Wada ta, ujawniona silnie już w „Narodzinach człowieka", powtarza się i tutaj. Tym razem jednak jest ona w zestawieniu z innymi cechami powieści „Potrójny ślad" raczej zaletą.

Nie dowodzi bowiem słabości talentu. Jest wskaźnikiem dynamicznej jego prężności, wyładowującej się w różnych dziedzinach twórczych koncepcyj.

Ostatnie strony powieści — to niedokończony pamiętnik Darii.

Jest to jej ostatni ślad. Przez jego wstrząsającą treść, tonącą w gąszczu słów i urwanych myśli, przedzierają się w poszukiwaniu duchowego wizerunku ich autorki Urban i Matylda. Z szelestem kartek wstaje nowa przeszłość, luźnie tylko potrącająca o fakty, odsłaniająca nowe oblicze zjawisk. Niczego już jednak nie wyjaśnia. Komplikuje jeszcze bardziej nieistniejącą już historię i jeszcze mocniej zaciera i tak mglistą i nieuchwytną, rozpływającą się w dali sylwetkę Darii. *WŁADYSŁAW ROMANOWSKI*

Adam Ważyk:

„MITY RODZINNE"

Warszawa 1938, T-wo Wydawnicze „Rój".

Książka Ważyka obejmuje okres wielkiej wojny, widziany od strony życia ludności cywilnej. Na małym odcinku jakim jest rodzina Wieligockiego i dr. Karcza możnaby obserwować objawy ogólnego chaosu. Jeżeli doszukiwać się jednak tu jakiegoś plastycznego obrazu danego, wojennego okresu, jakichś objawów zarówno w dziedzinie materialnej jak i duchowej — to to, co znajdziemy u Ważyka jest za małe i za mgliste wobec powagi i głębi zagadnienia. Jest jednak coś innego, co jest punktem ciężkości tej powieści i co jest właściwie nowością, chociaż dotyczy tylko odwiecznej sprawy społecznej. Jest to kwestia życia rodzinnego inteligencji, czasowego zacierania się dzięki wojnie granic socjalnych owego przenikania wzajemnego warstw. Kwestia ta zyskała nowe oświetlenie. Uwidoczniła ciekawą cechę inteligencji, polegającą, rzec można, na kastowości.

Tak jak owa pani Wieligocka zwyciężyła niejako mocą historycznego prawa Florkę, tak mit rodzinny, owo poczucie przynależności stanowej, zasiane już w duszy dziecka i kiełkujące w nim, zwycięża mit chwilowej przygody, jakim było dla Albina zetknięcie się z ludźmi innego świata. Triumf i zwycięstwo sybarytyzmu. Najjaskrawszym przykładem tego może być stary Wieligocki którego „zjadło czekanie na katedrę". Ba, zjadło nawet jego socjalistyczne poglądy i pamięć o pochodzeniu do tego stopnia że „rozsiadszy się wygodnie na stołku" i likwidując swój duchowy konflikt między poglądami a rzeczywistością Wieligocki mógł z flegmą powiedzieć: „my inteligencja". Zdaniem tym zaprzeczył całej swej przeszłości, całemu życiu i sobie. Cóż kiedy socjalizm ginie dla inteligenta wraz z młodością i z wojną... Taka Anielka, Florka, Zenobia, to tylko „mit przygody", który trzeba ukrywać, którego można się wstydzić i który rozgrzeszyć może tylko wojna. Pomimo oświetlenia tego ciekawego problemu i głębokiego podłoża psychologicznego zwłaszcza w malowaniu życia młodzieży, podchwyconego w okresie dojrzewania, — rzecz zostawia nikłe, prawie żadne wrażenie. Powiedzieć można, że brak jest tej powieści wyrazistości rysów. Rzecz dobrze pomyślana, została niejasno wypowiedziana, niejako zagubiona w szarej codzienności bytowania dwóch rodzin, które miało być tylko obiektem demonstrowania problemu...

N. WIŚNIEWSKA.

Jubileusz Uptona Sinclair'a

Głośny pisarz amerykański, twórca „Jima Higginsa", „Grzęzawiska", „Bostonu", „Nafty" — i tylu innych rewelacyjnych powieści oraz demaskatorskich pamfletów, obchodzi w roku bieżącym podwójny jubileusz: 60-tą rocznicę urodzin (ur. 20 września w 1878, w Baltimore) i 40-lecie pracy literackiej. Olbrzymią popularność pisarza wykazuje bibliografia jego dzieł, tłumaczonych na 47 języków. 760 wydań w 39 krajach — prócz ojczystego! — to istotnie sukces zadziwiający, szczególnie, jeżeli weźmiemy pod uwagę zdecydowanie krytyczną, bojową postawę Sinclair'a wobec społeczeństwa mieszczańskiego, jego podstaw etycznych, filozoficznych i gospodarczo-politycznych.

Z autobiograficznej powieści „Love's Pilgrimage" dowiadujemy się, że Sinclair zaczął swą karierę pisarza, idąc za głosem najszczerszych natchnień; umiłował głęboko zawód literata, przygotowywał się doń z pietyzmem, marzył o dostojeństwie sztuki, o „niedościgłym sanktuarium, gdzie gości czysty Intelekt, z którego rodzi się twórczość". Dopiero rzeczywistość wyrwała go z esktazy poetyckiej; twarde warunki życia narzuciły się młodemu artyście z taką siłą, że musiał wyrzec się swej wieży z kości słoniowej i rozejrzeć wokoło. Życie ściągnęło Thyrsisa („Pielgrzymka Miłości") z wyżyn wprost na drogę „Ludzi Straconych". Ojciec poety, wykolejony arystokrata z Południa, zrujnowany wskutek wojny domowej, popadł w nałóg pijaństwa, pogrążając rodzinę w nędzy. Młody Sinclair musiał walczyć o swą egzystencję, nie chcąc wyrzec się umiłowanej poezji, szukając zarobku z pracy literackiej, poznawał, przerażony, całą machinę zorganizowanego wyzysku, który spycha sztukę do poziomu najpośledniejszego rzemiosła.

Ameryka przeżywała wówczas okres największej gorączki bogacenia się; gwałtowny rozwój przemysłu kosztem niewiarygodnego upośledzenia rzesz pracujących, ściąganych z całego świata nędzarzy, którzy w pogoni za zarobkiem, płynęli do ziemi obiecanej dobrobytu, tworząc istne targowisko na ręce robocze. („Jungle" — Grzęzawisko). Ci nowocześni niewolnicy kapitału, pracując w nieludzkich warunkach, umacniali potęgę swych władców i wyzyskiwaczy. Życie w młodej republice dolarowej stało się piekłem chciwości, najbrutalniejszego gryndersstwa, łupiestwa słabszych, urągając wszelkim pojęciom etyki społecznej. Prawodawstwo amerykańskie nie znało zupełnie ochrony pracy. „Help yourself" — oto hasło wyuzdanego egoizmu kapitalistów, wszechwładców Ameryki! Sam sobie pomóż!

Wnikliwy poeta Sinclair uległ potężnemu naporowi konfliktów nowoczesnej cywilizacji i — opowiedział się po stronie wyzyskiwanych. Podnosząc głośny protest w imieniu pogwałconej sprawiedliwości, stał się misjonarzem lepszego ustroju społecznego, propagując wprowadzenie „produkcji dla potrzeb" czyli: demokracji przemysłowej.

I ten serwitut społeczny zaciążył nad jego karierą artysty, zdyskredytował go w opinii krytyków amerykańskich, nadał mu piętno pisarza tendencyjnego. Nie mogło być inaczej: im mocniej, szczerzej wypowiadał się w swych utworach, tym szybciej rosła liczba jego przeciwników w kraju ojczystym, w którym zapanował wszechwładnie „bóg interesu". Porywający blask młodzieńczego oburzenia przeciw brutalnej przemocy, śmiała myśl Sinclair'a, nie znająca kompromisu, roziskrzona doświadczeniem żywego człowieka, wrażliwego na krzywdę słabszych, wywoływała coraz silniejszą reakcję, smaganych mocnym piórem, wyzyskiwaczy i korupcjonistów wszelkiego gatunku. Pisarz piętnował instytucje dotychczas nietykalne: uniwersytety, sądy, kościoły, szkoły („Profits of Religion", „Boston", „The Goose Step" „The Goslings") atakował potężne koncerny mięsne królów węgla, nafty itd. („Jungle", „King Coal", „Oil"), aż wreszcie odważył się na walkę szaleńczą z prasą amerykańską, nazywając ją sprzedajną ladacznicą!

Cóż więc dziwnego, że z tej nierównej walki wychodził z — połamanymi skrzydłami, odarty z talentu, z czci, ośmieszany, sponiewierany. Potężni nieprzyjaciele odmawiali mu prawa głosu, zabijali go milczeniem, lub potwarzą, nie drukowali jego książek, nie sprzedawano ich nawet w księgarniach. Gdy własnym nakładem chciał wydać „The Brass Check" (pamflet demaskatorski przeciw prasie — przepyszny utwór satyryczny) w całych Stan. Zjedn. nie mógł kupić papieru i — musiał sprowadzić transport aż z Kanady, zachowując wszelkie ostrożności w obawie przed zamachem przeciwników!

Jednego tylko ciosu uniknął: żadna zaatakowana instytucja ani kompania finansowa nie odważyła się wnieść przeciw niemu skargi sądowej o oszczerstwo! Sumienny badacz stosunków społecznych sam osobiście zbierał dowody straszliwych nadużyć i korupcji. Ograniczono się więc tylko do drwin z niego, do szykan, lekceważenia, nazywając go stale obelżywym przezwiskiem: — „wygrzebywacza śmietników"!

Najcięższym dla niego jednak było zawsze lekceważenie jego prac literackich przez zawodowych krytyków. Ale i to umiał przezwyciężać. Z prawdziwie yankesowską prostotą przyznaje się dziś, czyniąc przegląd długoletniego borykania się z przeciwnościami, że sam nie ustawał nigdy w pracy, aby pisma jego docierały do masowego czytelnika: „Walczyłem przy każdej okazji o powodzenie mych książek, bo pisałem je przecież nie dla zaspokojenia próżności artystycznej, lecz dla wielkiej idei sprawiedliwości społecznej..."

Jego wytrwałość dała pozytywne rezultaty — książki Sinclair'a, mimo milczenia lub zjadliwości

krytyków, mimo fantastycznych przeszkód, rozchodziły się w setkach tysięcy egzemplarzy, aż wreszcie dotarły do Europy i tu — zdobyły nieoczekiwaną poczytność. Również prasa w najkulturalniejszych krajach odniosła się przychylnie do niebezpiecznego pisarza. Jeszcze przed wojną, Jerzy Brandes, wydał mu pochlebne świadectwo: „Uważam trzech współczesnych pisarzy amerykańskich za godnych poznania, a tymi są: Frank Norris, Jack London i Upton Sinclair.". Cały szereg poważnych krytyków europejskich stawiał twórczość Sinclair'a bardzo zaszczytnie obok Coopera. Marka Twain'a i Walt Whitman'a, przyznając, że Sinclair jest najwierniejszym malarzem życia współczesnej, przemysłowej Ameryki, tak jak Cooper odtworzył Amerykę Indian.

Sinclair, zahartowany w walce o swe ideały, umiał znosić mężnie prześladowania, odpierać kalumnie, lecz opinia wybitnych pisarzy o jego książkach zawsze była dla niego wielką podnietą, cenił ją sobie bardzo. Starał się zawsze utrzymać kontakt z Wells'em, Galsworthy'm, Gorkim, Romain Rolandem i wielu innymi; posyłał im wszystkie swe nowe książki, prosząc o szczerą ocenę; gromadził całą kolekcję cennych uwag, a czasem nawet powoływał się na nie w przedmowach i reklamach swych książek. Ta nadmierna wrażliwość głośnego pisarza na opinię swych wybitnych kolegów da się wytłumaczyć gorzkim doświadczeniem jego pierwszych wystąpień na forum literatury światowej. Bądź co bądź, samokrytycyzm sumiennego pisarza narzucał mu wątpliwości: nie wszystkie przecież ciężkie zarzuty amerykańskich krytyków mógł złożyć na karb niepopularności swych poglądów. Wiedział, że stał się głosicielem „niepożądanych„ ideałów społecznych kosztem — walorów artystycznych. Przede wszystkim deprecjonowała jego powieści w oczach krytyków — nie tylko tendencja propagatora idei społecznych ani nawet upraszczanie zjawisk psychologicznych, lecz nade wszystko — przestarzała forma literacka.

Sinclair pojawił się w świecie literackim w końcu XIX wieku, gdy dawna szkoła realistyczna i naturalistyczna chyliła się już ku upadkowi. Nawet wielki twórca naturalizmu, Emil Zola sprzykrzył sobie już obserwowanie rzeczywistości i próbował nawrócić ku — mistycyzmowi w swym „Marzeniu", idąc śladem Tołstoja. Cała plejada młodych parnasistów w trosce o stronę formalną, stanowczo wyrzekała się wszelkich „celów", uznając bezapelacyjnie za kanon literatury pięknej: obojętność i bezosobowość.

Sinclair tkwił już zbyt głeboko w analizie fatalnych niedomagań życia społecznego, by mógł się schronić po za granicę zagadnień „czystej" estetyki. Przeciwnie — wiara w zwycięstwo sprawiedliwości popychała go co raz głębiej do szeregów walczących proletariuszy — (osobiście brał udział w wielkim strajku węglowym w Colorado — „Król Węgiel"). Z konieczności zabrał się do poważnych studiów socjologicznych, szukając drogi wyjścia z zawiłych konfliktów ustrojowych. Poznał dokładniej teorie klasyków socjalizmu i z pośród wielu nowych poglądów najwięcej porwała go przenikliwa analiza struktury kapitalizmu Karola Marxa — stał się zdecydowanym zwolennikiem socjalizmu. Lecz ostateczne wnioski polityczne twórcy „Kapitału" — zdobycie władzy przez proletariat, napełniły go lękiem. Cofnął się przed tezą rewolucji socjalnej, szukając innej drogi, usiłując przekonać obie strony walczące o konieczności zreformowania systemu produkcji. Odtąd w jego powieściach społecznych spotykamy cały szereg bohaterów ze środowiska klas uprzywilejowanych, milionerów lub arystokracji, (Kornela i Betty w „Bostonie", Bunny w „Nafcie", Hul w „Królu Węglu" — itp.), które wyrzekają się bogactw, zaszczytów, wygodnego życia, by stanąć w szeregu walczących o nowy ustrój.

Aż wreszcie — nastąpiła katastrofa, wojna światowa wraz z całą powodzią nowych nieszczęść. Instynkt społeczny Sinclair'a przyzwycięża ostatecznie aspiracje artystyczne. Zabiera głos w każdej niemal sprawie elektryzującej ogół. W chaosie powojennym, gdy wzmaga się kryzys w zasięgu globalnym, gdy tragiczny splot sprzecznych interesów, utraconego prestiżu, rozszalałego nacjonalizmu szuka odwetu kosztem nędzy mas i dalszych rzezi — wielki społecznik nie może milczeć. Szczególnie drogą staje mu się sprawa wolności słabszych narodów, sprawa swobód obywatelskich, bez których kulturalny człowiek nie rozumie życia. To też, gdy zrozpaczone i wynędzniałe szeregi bezrobotnych i zrujnowanego małomieszczaństwa przerzucają się w tragicznej dezorientacji do faszyzmu i daremnie szukają wyjścia, łaknąc pokoju i warunków normalnego rozwoju — Sinclair decyduje się wystąpić ze swymi wskazaniami — jako polityk. Tworzy własną teorię nowoczesnego kooperatyzmu wytwórczego (Epic-Plan) i kandyduje na gubernatora w Stanie Kalifornia, po uprzednim uzgodnieniu swej działalności z prezydentem Rooseveltem. Trzyletni okres jego akcji politycznej odrywa go od literatury — pisze tylko niezliczone odezwy, broszury, usiłując wyjaśnić przyczyny kryzysu strukturalnego — a więc nieuleczalnego, i w imieniu dobra ogólnego propaguje nieuniknioną zmianę ustroju kapitalistycznego — tego źródła wszelkich klęsk społecznych. Naturalnie — jego przeciwnicy, wielcy kapitaliści zmietli go z łatwością z pola walki.

Dopiero po upadku swej kandydatury Sinclair wraca do pióra, jak mu tego życzył H. G. Wells, a nawet rodzony syn, który publicznie, na wielkim wiecu w Detroit, gdzie Sinclair spotkał się z ostrą krytyką ze strony komunistów, ofiarował ojcu złote pióro, zachęcając do dalszej pracy literackiej. Rezultatem takich wypadków jest — ostatnia powieść Sinclair'a, prawdziwa epopea bezrobotnych w Kalifornii, usiłujących rozwiązać tragiczny konflikt społeczny braku pracy i nędzy mas przy nadmiarze produktów: „Co-op" — czyli Powieść o Życiu Wspólnym — (w Polsce ukazała się ta książka p. t. „Socjalizm na raty"). Sinclair stwierdza bankructwo prób wyjścia z kryzysu drogą kooperacji poszczególnych zespołów robotniczych.

A jednak na podstawie sumiennej analizy utworów Sinclair'a, jego postawy wobec doniosłych zagadnień kryzysu, faszyzmu, demokracji i rewolucji, jest jasne — wbrew wszelkim hałaśliwym napaściom, pomawianiu go o „wywrotową propagandę" — że Sinclair pozostał tym samym zawsze — pacyfistą społecznym. Chciałby — a może i wierzy w to — że potrafi natchnąć swych czytelników bratnią miłością do współobywateli, bez względu na przynależność klasową; probuje znaleźć artystyczny wyraz dla swych ważkich argumentów o zbawienności rozumnego patriotyzmu, który ma zasypać przepaść mię-

dzy klasami, nie zagrażając innym, również zreformowanym, narodom.

Taka jest linia twórczości i czynnego życia największego bezsprzecznie społecznika — pisarza naszych czasów. Osiągnął bardzo wiele: — czytają go na całej kuli ziemskiej, nie uznając go co prawda za twórcę koncepcji polityczno - społecznych, lecz za rasowego pisarza, nieubłaganego demaskatora plutokracji amerykańskiej — odtwarzającego znakomicie prądy, nurtujące proletariat U. S. A. U nas, w Polsce, gdzie żyje wielki kult dla naszego społecznika — Żeromskiego, przewaga treści społecznej w dziełach Sinclair'a sprzyja szerokiej popularności amerykańskiego jubilata. *AD. IGN. WOLSKI.*

„Niebezpieczne więzy"

Znana dziennikarka francuska, p. Genowefa Tabouis, wydała niedawno książkę pod wymownym tytułem „Szantaż aż do wojny". Znaczny mir, a przede wszystkim zaufanie u czytającej publiczności p. Tabouis zawdzięcza swoim doskonałym informacjom, czerpanym zazwyczaj z pierwszej ręki w najpoważniejszych kołach politycznych i w t.zw. ośrodkach dyspozycyjnych. Z żalem tylko trzeba nadmienić, że ta światowego rozgłosu i poczytności pisarka nie jest żarliwą naszą zwolenniczką, i czytając jej świetne artykuły nieraz wypada z uczuciem przykrości połykać piołunowe pigułki z napisami polskimi.

Ustosunkowując się tylko rzeczowo do jej ostatniej książki, niewątpliwie pożytecznej dla każdego, kto chce wyrobić sobie pogląd na dzisiejsze wielkie zdarzenia i przemiany, — uważaliśmy za stosowne wyjąć z niej i przytoczyć poniżej z nieznacznymi opuszczeniami jeden kapitalny rozdział pt. „Niebezpieczne więzy". Z treści tego rozdziału Czytelnik dowie się, jakimi sposobami tworzyła się i wykuwała oś Rzym — Berlin i jak bezcennymi usługami przygotowały Włochy tryumfalny pochód Trzeciej Rzeszy.

„EPOKA".

W latach 1932 — 36 Mussolini wahał się pomiędzy dwoma kierunkami polityki zagranicznej: sojusz z Francją i Anglią, czy zbliżenie z Niemcami.

Zanim doszedł on do władzy, zastanawiał się już nad tym problemem. Przed konferencją w Genui, Mussolini - dziennikarz, pisał w przeglądzie „Gerarchia".

„Bezwątpienia w dobie dzisiejszej oś historii Europy przechodzi przez Berlin. W walce pomiędzy Niemcami a potęgami Zachodu, Włochy mogą odegrać decydującą rolę; trzeba tylko umieć stworzyć konstelację, dwuch przeciw jednemu. Jednak przed ostateczną decyzją, Włochy powinny zbadać do gruntu problem niemiecki, aby nie dać się wciągnąć w pułapkę. W tej chwili Włochy powinny prowadzić politykę anglo-saską. Na razie trzeba dać moratorium Niemcom, celem ulżenia im w spłatach długów, równocześnie zawierając pakt gwarancyjny przeciw nim, lecz żądać pieniędzy tylko w miarę możności Niemców".

Po marszu na Rzym w 1922 r. Mussolini jest zawsze germanofilem. Jego pierwszym posunięciem w polityce zagranicznej było odrzucenie propozycji premiera angielskiego, Bonar Law'a, który dążył do zbliżenia z Niemcami i dania, równocześnie, swojej zgody na politykę Poincarégo, który zmuszony był iść na rękę Włochom w sprawie aneksji Corfu w jak najdogodniejszych dla nich warunkach.

W tym czasie zaszedł zabawny wypadek, rzucający nieco światła na stosunki włosko-niemieckie. Pomimo cenzury włoskiej, jeszcze nie tak surowej, dziennik „Il mondo" umieścił sprawozdanie z takiej historii:

Oddział drugi poinformował Mussoliniego, że w kasie ambasady niemieckiej w Rzymie, znajduje się teczka, zawierająca dokumenty, świadczące o ścisłych stosunkach dygnitarzy włoskich z ambasadą.

Ze swojej strony, ambasador von Neurath był też uwiadomiony, że za pomocą dobranych kluczy, ludzie Mussoliniego mieli wtargnąć w nocy do ambasady, wejść do sali archiwum, otworzyć sławną kasę i zabrać drogocenną teczkę.

Baron von Neurath włożył do teczki czyste papiery. W otoczeniu całej ambasady, p. von Neurath oczekiwał nocnych gości. O 2 rano drzwi otwarły się i dwóch tajemniczych osobników weszło do pokojów biurowych. Otwarli kasy i zabrali teczkę. W tym momencie zostali otoczeni, rozbrojeni i związani. Tylko człowiek stojący na ulicy na czatach uciekł.

Rewidując złodzieji można było stwierdzić, że byli oni urzędnikami państwowymi.

Nazajutrz ambasador zawiadomił dyrekcję policji, że w nocy był napad na jego dom i że winowajców może wydać tylko w ręce przedstawiciela włoskiego ministerstwa spraw zagranicznych.

Delegowano więc generalnego sekretarza, Contarini, dla załatwienia tego pożałowania godnego wypadku, o którym baron von Neurath zachował całkowitą dyskrecję, co pozwoliło mu mieć dużą przewagę nad Mussolinim i umiał on to wykorzystać.

P. Contarini, chociaż był później w niełasce, nigdy nie wspomniał o tym incydencie, co świadczy pięknie o politykach w Rzymie i Berlinie.

W dodatku, stosunki włosko-niemieckie były dość oziębione, przez tendencje demokratyczne panujące w republice Weimaru. Jeszcze w roku 1932 Mussolini oświadczył w wywiadzie, udzielonym Juliuszowi Sauerwein, że „jedynie sojusz pomiędzy Francją i Włochami, Belgią i Anglią może utrzymać pokój w Europie".

Ani Anglia, ani Francja nie miały ochoty opłacania dobrej woli rzymskiej. „Słabość ekonomiczna, polityczna i wojskowa" Niemiec nie przedstawiały w tym momencie dla Włoch wielkiej wartości; nie tłomaczyło to w żadnym wypadku roszczeń Włoch do nowych kolonii, przeciwnie, stworzyłoby tylko zbyteczny precedens dla żądań niemieckich.

Celem Mussoliniego było danie pomocy Niemcom do stworzenia rządu silnego, któryby niepokoił Francję i Anglię i pomoc taka podniosłaby wartość Włoch w oczach Paryża i Londynu. Duce żywo interesował się ruchem nazistowskim, który szybko rozgałęział się w całych Niemczech. Na długo jeszcze przed dojściem do władzy Führera, adiutanci jego byli w ścisłym kontakcie z prowodyrami partii faszystowskiej.

Akcja, zcentralizowana w domu Bruna w Monachium, otrzymała, w latach 1930 do 30 stycznia 1933 roku wiele słów zachęty ze strony Mussoliniego.

Z chwilą dojścia do władzy, Hitler odrazu zrozumiał, jakie korzyści może wyciągnąć z poparcia włoskiego. Zagwarantował Mussoliniemu, że w żadnym wypadku Niemcy nie zażądają południowego Tyrolu.

W wielkiej mowie programowej wygłoszonej 30.I. 1934 r. w Reichstagu Hitler oświadczył: „Omawiając politykę zagraniczną, nie mogę przemilczeć radości, jaką mi sprawia tradycyjna przyjaźń włosko-niemiecka, przyjaźń zacieśniająca się coraz więcej i nie mogę przejść spokojnie bez zaznaczenia, jaką miłością cieszy się wśród nas wódz faszyzmu włoskiego".

Mussolini nie chciał jednak iść na całego. Wstręt miał do odgrywania drugorzędnej roli. Flirt z Berlinem był środkiem wywarcia presji na dawnych sojusznikach. Nie chciał zamykać sobie odwrotu. Przypomniał sobie słowa księcia Bülowa: „Alianci w Wielkiej Wojnie wygrali pierwszą część, ale nie można stwierdzić, kto jest prawdziwym zwycięzcą, póki nie będzie znany prawdziwy pan Wiednia".

Były to początki propagandy nazistowskiej w Austrii, używała ona najgorszych sposobów, prawdziwy teror zapanował wkrótce w Wiedniu wraz z wstrętnymi zarządzeniami i licznymi egzekucjami. Rząd Dolfussa sądził, że sojusz z Włochami obroni Austrię przed dążeniami niemieckimi.

Otoczenie Hitlera doradzało zwrócić się do Mussoliniego, doradzając odstąpienie w sprawach Austrii. Obaj spotkali się w Wenecji. Obydwaj rozczarowali się do siebie. Od niechcenia rzucił Hitler Mussoliniemu słowa zapewnienia, co do państwa austriackego. W czasie obiadu oficjalnego posadzono przy Hitlerze p. Suvitcha, podsekretarza stanu włoskiego min. spr. zagranicznych, pochodzącego z Triestu, mówiącego świetnie po niemiecku. W czasie obiadu Hitler ciągle brał stronę rządu austriackiego, mówił o tym z takim naciskiem, że przy deserze, Suvitch z uśmiechem powiedział: „Podobni jesteśmy do siebie, obaj jesteśmy złymi Austriakami".

25 lipca 1934 r. został zamordowany w sposób barbarzyński kanclerz Dolfuss.

Natychmiast Mussolini posłał kilka dywizji nad Brenner. Kontrwywiad niemiecki przejął polecenie dyplomatyczne włoskie, które po odcyfrowaniu miało brzmienie następujące: „Jeżeli akcja nazistowska rozwinie się tak, że będzie zagrażała Austrii, włoska armia wkroczy do Austrii i skieruje się na Monachium".

Polecenie to uratowało Austrię; Niemcy nie były gotowe do wojny, nawet do wojny z Włochami.

Aż do wojny abisyńskiej, naprężenie pomiędzy Włochami i Niemcami ciągle wzrastało. Z okazji dorocznego jarmarku w Bari, swoim zwyczajem, Mussolini wygłosił wspaniałą mowę wykazując przewagę cywilizacji łacińskiej nad cywilizacją germańską.

Gdy dn. 16 marca 1935 r. Niemcy przekreśliły przepisy wojskowe traktatu wersalskiego, Anglia z Francją uważały to za najlepszy moment do zwołania konferencji w Stresie, aby ostatecznie zdefiniować wspólną linię polityki włosko-francusko-angielskiej przeciwko nowouzbrojonym Niemcom. Podróż p. Lavala do Rzymu, znakomicie przygotowała teren.

Dn. 11 kwietnia, nad cudownymi jeziorami włoskimi, panowie Laval, Flandin, Mac Donald i John Simon podziwiali jak z błękitu niebios wielki, biały, hydroplan, osiadł na wodach jeziora przed Isola Bella.

Nie trzeba zaznaczać, że wszyscy niepożądani świadkowie, a przede wszystkim dziennikarze zostali usunięci.

Mussolini był mocno zaniepokojony postępem ruchu niemieckiego w Europie Środkowej. Wybory na Węgrzech, dające większość rządowi Goembesza, świadczyły o sukcesie propagandy i dyplomacji Niemiec w basenie naddunajskim.

Był więc Duce gotowy do współpracy z Francją i Anglią dla uratowania niepodległości Austrii, którą należało utrzymać jako fant zamienny z Berlinem.

Mussolini długo przemawiał do swych partnerów starannie unikając składania jakichkolwiek obietnic. Z zapałem świadczył o chęci potwierdzenia w praktyce umowy, którą podpisał w Rzymie z Lavalem. Niezręcznie prosił o pozwolenie uzbrojenia Austrii dla obrony granic, których miał wspólnie bronić z sojusznikami pod przewodnictwem Wielkiej Brytanii. John Simon podziękował w imieniu swojego kraju, ale pozostał nadal w postawie wyczekującej.

Mussolini obiecał zwołać w Rzymie na 20 maja konferencję, na którą miały być zaproszone państwa sukcesyjne cesarstwa austro - węgierskiego celem ustalenia status quo Europy Środkowej.

Ze swej strony Mussolini prosił sir Johna Simona o wybadanie Niemiec co do ich prawdziwych zamiarów względem Austrii.

Delegaci, w przepiękną noc wiosenną, zebrani w hotelu Iles Borromèes pilnie opracowywali redakcję paktu. Laval i Flandin, zaprosiwszy na kolację i wieczór Il Duce, dziwili się, że wiatr wieczorny przynosi wraz z sławnymi zapachami „Iles Borromèes" skandowane ryki tłumu: Duce... Duce... naturalnie na rozkaz.

Pakt nie przyniósł Mussoliniemu korzyści, których się spodziewał. Przeciwnie, uważał on że wszystkie te słówka, którymi przyczynił się do redakcji paktu upoważniają go do działania. Jednak, kiedy Laval przybył do Genewy, Mussolini w niektórych ważnych momentach chętnie szedł na rękę premierowi francuskiemu. Wtedy to p. Flandin nie mówił mu o możliwościach zajęcia Nadrenii przez Niemcy i zapytał o stanowisko Włoch w tym wypadku; Duce nie robił tajemnicy, że przeciwstawi się wziętym zobowiązaniom w pakcie locarneńskim.

Kilka miesięcy potem wyłoniła się kwestia wojny z Etiopią. Włochy łamały dobrowolnie prawa narodów i 52 państwa stawiały przed faktem dokonanym. Mimo wszystko ryzyko było wielkie. Gdyby Liga Narodów była energiczna; gdyby zastosowała przewidziane sankcje przeciwko napastnikowi, wówczas

tylko Niemcy mogły uratować Włochy. Na takim psychologicznym podłożu urodziła się oś „Rzym — Berlin".

Niemcy miały do wyboru. Mogły wykorzystać trudną sytuację Włoch, zajętych swoją zdobyczą i bojkotowanych przez Ligę Narodów; mogły rozwinąć swoją akcję w Europie Centralnej i wyeliminować kompletnie Włochy, lub przeciwnie, zdobyć przyjaźń włoską przez okazywanie przyjaznej neutralności nawet dodając odwagi w ich zamiarach Śródziemnomorskich.

Führer wybrał drugą koncepcję, była ona bardziej korzystna, gdyż dawała mu więcej swobody w Europie Środkowej i w Nadrenii, ponieważ zainteresowania Francji i Anglii byłyby rozdzielone: jedną interesowałoby morze Śródziemne, drugą Nadrenia.

Rachunek był dobry: 7-go marca 1936 r. zajął Nadrenię.

Im dłużej trwała wojna włosko-abisyńska, tym bardziej utrwalała się przyjaźń włosko-niemiecka.

W Paryżu i Londynie sądzono, że sprawa austriacka długo jeszcze będzie kością niezgody pomiędzy Włochami i Niemcami.

Wojna abisyńska postawiła Austriaków twarzą w twarz z Niemcami. Brakło teraz przeciwwagi włoskiej.

W tym to czasie sir Austin Chamberlain przybył do Wiednia i radził szukać jakiegoś modus vivendi z Niemcami, ponieważ Austria nie może więcej już ufać Włochom.

Wahał się kanclerz Schuschnigg; jedzie do Rzymu, poto, by dowiedzieć się od Mussoliniego, że chętnie by on widział zbliżenie austro-niemieckie.

Nie pozostaje więc nic innego, jak pertraktować z Berlinem; nawiązują się tajne rozmowy pomiędzy Gwido Schmitem, vice-dyrektorem gabinetu prezydenta Republiki a von Papenem, ambasadorem Rzeszy.

Zasadnicza zgoda jest gotowa, Schuschnigg i Gwido Schmit jadą do Mussoliniego, aby go o tym powiadomić.

Duce wyraził swoją zgodę na wszelkie umowy, któreby uratowały jego honor w Wiedniu; umowy, któreby prowizorycznie utrzymywały niepodległość Austrii nawet w ramach Anschlussu.

Dla zjednania sobie Berlina, usuwa nie mile widzianego w Niemczech, podsekretarza stanu Suvitscha i mianuje swego zięcia, hrabiego Ciano, bardziej uległego zamiarom swego teścia.

Dn. 11 lipca 1936 r. „pobłogosławił" Duce umowę austro-niemiecką, podpisaną w Wiedniu. Sprawa austriacka była załatwiona.

Dn. 19.X. 36 r. hrabia Ciano jedzie do Monachium i Berlina. Po rozmowie z baronem von Neurathem, stwierdzono, że Włochy stoją przy boku Niemiec.

Obecnie wiemy, jakie punkty zawierała zazdrośnie strzeżona umowa:

1) Równocześnie akcja Włoch i Niemiec w Hiszpanii.

2) Wspólna akcja w Genewie; Niemcy zobowiązują się nie wracać do Ligi Narodów, dopóki Włochy nie otrzymają pełnej satysfakcji i uznania aneksji Abisynii.

3) Wspólna akcja zawarta w pakcie nadreńskim: oba kraje zobowiązują się nie nawiązywać rozmów dyplomatycznych jeden bez drugiego, ostatecznie, tylko w wypadkach koniecznych, jednak wyłączając aliantów i przyjaciół Francji.

W kilka dni potem Mussolini wygłasza mowę w Mediolanie, w której zawiadamia o zawarciu wspomnianej umowy. Po raz pierwszy mówi on o osi Rzym — Berlin.

Niezliczone tłumy z chorągwiami i sztandarami zgromadziły się na placu Katedralnym w Mediolanie.

Plac przybrany był różnorodnymi plakatami i sztandarami włoskimi. Na katedrze rozwieszono wspaniałą kotarę z aksamitu czerwonego, przybraną wstążkami trójkolorowymi z napisem po środku. „Niech Jezus, Król wieków, da długie lata zwycięskim Włochom i Duce, by cywilizacja świata całego mogła z Rzymu chrześcijańskiego brać wieczne światło".

Narodowe hymny łączyły się z Deutschland über Alles i z Horst Wessel-Lied; delegaci organizacji hitlerowskich zasiadali w pierwszych rzędach. Panując nad frenetycznymi okrzykami tłumu, Mussolini grzmiał: Jest jeden wielki kraj, w stronę którego, ostatnimi czasy, skierowały się wielkie sympatie narodu włoskiego. Mówię o Niemczech.

Linia Berlin — Rzym nie jest diafragmą, to jest oś dokoła której mogą gromadzić się wszystkie państwa Europy, ożywione dobrą wolą pracy i pokoju".

Niemcy, pomimo nacisków z wszystkich stron, nie należały do sankcji przeciw Włochom. Przez umowę w dniu 11.VII.1936 r. wszystkie nieporozumienia zostały usunięte pomiędzy Rzymem i Berlinem. Napór aż do wojny, stosowany w praktyce przez obie strony i oparty o wspólne siły Niemców i Włochów, pozwoli na odosobnienie Paryża i Londynu. Sojusznicy i przyjaciele Wielkiej Brytanii i Francji w Środkowej Europie i na Bałkanach, pozostawieni sami sobie, rzucą się bez namysłu w objęcia osi Rzym — Berlin dla szukania pomocy. Szybko zdecydowano się na przeprowadzenie powyższego planu:

6.XI. Berlin podpisuje umowę z Tokio przeciw Francji. Chodzi więc Japończykom o zneutralizowanie akcji rosyjskiej w Chinach, która wstrzymuje podbój kraju i osiągnięcie hegemonii.

Demokracja polska zawsze walczyła i walczy obecnie o przyszłość Polski

---

Poprzedni Nr. 27 „Epoki" został skonfiskowany za artykuł p. t. „Społeczeństwo w obliczu wyborów".

LISTY DO REDAKCJI

Motto: „Jak się bawić —
— to się bawić!"

Szanowny Panie Redaktorze!

Dla podkreślenia „Dobrego kawału" („Epoka" nr 26, rubr. „Z dnia na dzień"), a także ku rozweseleniu Czytelników „Epoki" w tych bądź co bądź niewesołych czasach, pozwalam sobie przytoczyć kilka wierszyków p. A. Nowaczyńskiego z jego okresu „przednawróceniowego".

Judzą pełni zemsty głodu:
„Wierzy w inne! Więc go zabij!"
I wszystkie wonie Arabii
Nie wywietrzą smrodu z wrzodu,
Jakim każdego narodu
Są ksiądz, derwisz, szaman, rabbi.

**
*

Wyznanie rzymskie, jest to wyznanie,
Które się w Polsce, Irlandii, Hiszpanii
Wessało harpią. Mocą dusz tyranii
W nich założyło swoje panowanie,
Któremu dzięki ludy te wciąż w stanie
Dzikim i ciemnym są, z szczęścia obrane.
Galicja polska — jest Polski Piemontem.
Nędzniejsza jednak nawet od Hiszpańskiej
Z nędzy się tuczy tu kapłon kapłański,
Myśl niepodległa przemieszkiwa kątem.
Szczątem mózg! Górą kler! Zyskuje on na tem,
Że go popiera kapitalizm pański.

**
*

Sprytne i chybkie są Galicji klechy;
Skoro poblaknął nymbus Częstochowy *)
Poszli wraz szybko po rozum do głowy
Postanowili dla ludu pociechy,
By promień światła nie zbłądził pod strzechy,
Ludkowi spektakl dać świetny i nowy...

**
*

Takie to wiersze pisywał Adolf Nowaczyński w czasach, kiedy go chwalił autor „Legendy Młodej Polski" — Stanisław Brzozowski.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku i życzliwości.

Michał J. Jasieńczyk

*) Chodzi tu o słynny proces Macocha (przyp. M. J.).

KSIĄŻKI NADESŁANE

Teodor Goździkiewicz: Głosy zdaleka. Powieść. Warszawa 1938. Składnica Księgarska Jerzego Nowickiego.

Adam Ważyk: Mity rodzinne. Powieść. Warszawa 1938. T-wo Wydawnicze „Rój".

Stefan Czarnowski: Kultura. Przedmowę napisał *Ludwik Krzywicki.* Nakładem miesięcznika „Wiedza i Życie". Warszawa 1938.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu St. R. w Sosnowcu: Poruszaliśmy ten temat bardzo niedawno: w Nr. 24 „Epoki".

Panu Zd. K. w Krakowie: Na to już nic nie poradzimy. Znaczna większość prenumeratorów nie otrzymała ostatniego Nr. „Epoki", gdyż został skonfiskowany na poczcie.

Pani A. M. w Łodzi: Najpewniej o tę samą osobę chodzi, albowiem, pisarka, St. Jarocińska - Malinowska nauczała języka francuskiego w gimn. im. J. Słowackiego. Później przeszła na emeryturę. W „Epoce" podpisywała swoim nazwiskiem recenzje i krytyki literackie. Zmarła w Rabce, gdzie przebywała na kuracji.

Panu T. K. w Jaśle: Adres redakcji „Wici": Warszawa, Książęca 4 m. 4. „Zielonego Sztandaru": Warszawa, Książęca 4, m. 2.

Panu L. K. w Myszkowie: „Czarno na białem": Warszawa, Książęca 4, m. 7.

Panu A. Sz. w Łodzi: Uwagi Sz. Pana są słuszne. Czynimy już od dłuższego czasu wysiłki w tym kierunku, gdyż wobec tempa zdarzeń przejście na tygodnik staje się koniecznością. Za miłe i serdeczne słowa bardzo dziękujemy.

Pani W. L. w Rabce: Przeciwnie, pisaliśmy. Ale pisaliśmy w Nr. 27, który do rąk Pani nie doszedł. Umieściliśmy o St. Jarocińskiej - Malinowskiej wspomnienie pośmiertne i Jej podobiznę nie ze względów „konwencjonalnych", jakby Pani sobie tego życzyła, ale wiedzeni uczuciem żalu po stracie człowieka, pisarza i koleżanki.

Panu Wł. Z. w Zakopanem: Głos Pana nie jest odosobniony. Coraz częściej przyjaciele „Epoki" domagają się przekształcenia pisma na tygodnik i nadania mu formatu gazetowego. Reforma taka nie jest rzeczą ani łatwą ani prostą. Jakkolwiekbądź, byłoby bardzo pożądane, iżby jaknajwiększa liczba naszych Czytelników wypowiedziała się w tym przedmiocie.

Pani H. G. w Siedlcach: Nie będziemy drukowali. Działu szarad nie prowadzimy.

Pani S. W. w Tarnowie: O „Ostatnim cywilu" Glaesera pisał obszernie w Nr. 20 „Epoki" Wacław Rogowicz w artykule pt. „Sidła germańskiego mitu". Nie będziemy drukowali.

Od Wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty za kwartał IV

Konto P. K. O. 26.630.

Od Wydawnictwa

Abonentów, którzy zalegają z opłatą prenumeraty za kwartał ubiegły i bieżący prosimy o uregulowanie należności

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. O R D Y N A C K A 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

R E D A K T O R przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. R Ę K O P I S Ó W nie zwraca się.
P R E N U M E R A T A kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł. 1.—. w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 5325 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.